Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



A. Jakimczuk. pinx.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 5 (817) 10 LUTEGO 1936 R



Na grubego zwierza. Z Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Fot. J. Regulski.

JĘZYK MYŚLIWSKI POTRZEBĄ NARODU KULTURALNEGO.

W bibljograficznie tak bardzo zajmującym i bezustannie aktualnym artykule o „Języku łowieckim" w „Łowcu Polskim" p. J. W. Kobylański był łaskaw wymienić i moje skromne zasługi w utrzymaniu przy życiu wytworu naszej wielkiej kulturalnej przeszłości. To mnie upoważnia dzisiaj, przy dalszej polemice w tej sprawie, do zabrania głosu i wypowiedzenia, iż „gwara łowiecka" wprawdzie nie umarła ze starości ani anemji, ale znajduje się w ustawicznej niemocy i letargu i, mimo licznych zwolenników i przyjaciół, lekarzy do wspólnej konsultacji i radykalnej kuracji dotąd zebrać się nie dało.

Podobnie zapatruje się na sprawę ułożenia terminologji łowieckiej Wiktor Kozłowski w dziele swojem z 1822 r. „Początki terminologji łowieckiej". Pisze on między innemi:

„Z pomiędzy wszystkich umiejętności i sztuki łowiectwo odznacza się szczególniej w naszym języku wielkością słów technicznych i właściwych sposobów mówienia; są w nim nawet takie wyrazy, które się wydają być niewłaściwemi, mimo to jednak muszą one być zatrzymane, dopóki powszechne jakie zgromadzenie, myśliwskich innych natomiast nie przyjmie, lecz że niepodobną jest rzeczą, aby takie wszystkich łowców porozumienie nastąpić kiedy mogło, zatem nie pozostaje, jak tylko język naszych przodków, dotąd przez biegłych myśliwych w użyciu miany, nadal od zaginięcia zabezpieczyć".

Z tego przekonać się można, iż Kozłowski proroczym duchem przewidział co się dziać będzie po dzień dzisiejszy, a dzieje się skutkiem ducha czasu i rozbieżności dzielnicowego zespołu myśliwych, co do zadania i potrzeby utrzymania języka łowieckiego, jako konieczności w zawodzie, ale jednocześnie i sztuce myśliwskiej. Oto dwa krańcowe zapatrywania:

Pan Kobylański jest zapalonym entuzjastą języka myśliwskiego. Nie żąda wprawdzie, jak to illo tempore bywało, ażeby za używanie niewłaściwej nomenklatury bito „fryca" sforami na rozłożonym dziku lub niedźwiedziu, ale wymaga, ażeby każdy adept sztuki myśliwskiej, jaką ona jest i być powinna, zaznajomił się o tyle z terminologją, ażeby — jeżeli nie znajduje się w towarzystwie damskiem (prócz oczywiście polującej pani), lub podobnych profanów i ignorantów łowiectwa, jednakże w gronie kolegów myśliwskich używał zawsze właściwych gwarze myśliwskiej oznaczeń terminologicznych.

Natomiast: p. M. K. Pawlikowski uznaje gwarę myśliwską jako piękną i zajmującą, ale — jako zabytek muzealny!... Wszakże tak tylko rozumieć można, gdy pisze:

„Żadna z dziedzin działalności ludzkiej nie jest tak związana z przeszłością, jak łowiectwo. Łowiectwo, prawdziwe łowiectwo nie lubi t. zw. aktualności (?). Łowiectwo wtedy jest piękne, gdy, stanowiąc najmilszą osłodę teraźniejszości, tkwi jedną nogą w przeszłości. Dawność i tradycja są istotnemi atrybutami prawdziwego myślistwa".

I w dalszej treści artykułu, gdy autor dworuje sobie potrosze z „imperatywnych" żądań p. Kobylańskiego jak najdalszego zastosowania terminologji, lub gdy mówi o kresowych myśliwych, jakoby „roz-

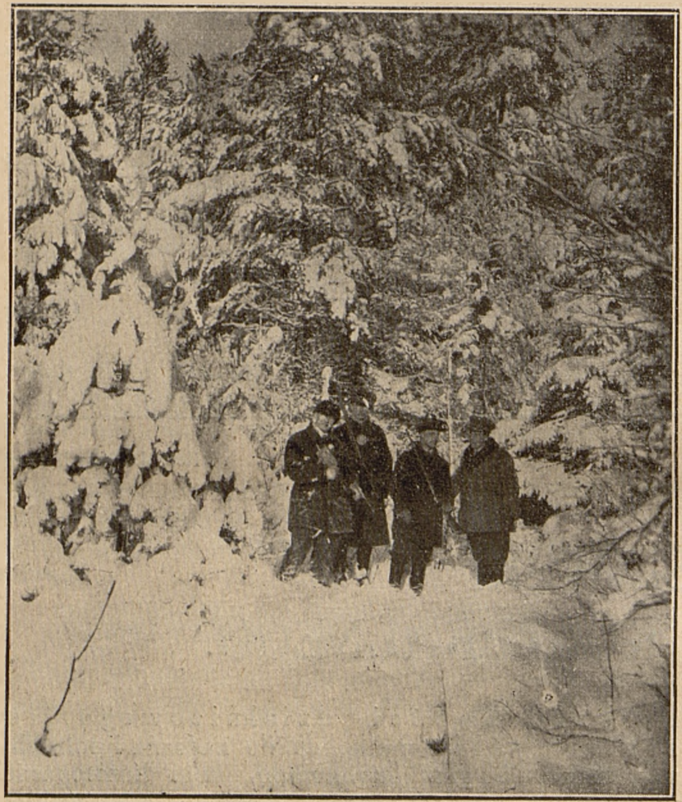
myślnie unikających wyrażeń gwarowych" bo... „jest pretensjonalne, jest do pewnego stopnia i w użyciu na codzień „biciem na oryginalność" — czego na prawdę kulturalni i naprawdę subtelni ludzie nie znoszą".

W innem zaś miejscu pyta się autor:

„A co się stanie, jeżeli potulne dotąd Kresy Wschodnie obrażą się za narzucanie im obcej dla nich gwary i zaczną swoją gwarę myśliwską innym dzielnicom narzucać?"

Kończy zaś swój artykuł orzeczeniem feljetonisty Z. Nowakowskiego, który nazywa gwarę myśliwską „na swój sposób kabotyńskim żargonem" i nie odmawia tym „zjadliwym słowom pewnej słuszności".

Taka różnica poglądów znalazła się u dwóch, zresztą porówno dla naszego łowiectwa życzliwych, mężów. Czy to wszystko nieporozumienie? Czy też czasem nie fanatyzm w zbyt skrajnem ujęciu spornego przedmiotu, a z większą szkodą dla samej sprawy?



Rewir Przewrotne. Podczas tropienia dzików. Fot. St. Politalski

Gdzież tu więc droga do porozumienia, do zgodnego stworzenia i uzgodnienia tylokrotnie przez wszystkich myśliwych zalecanego słownika języka łowieckiego! Czy zresztą samych tylko myśliwych? Iluż to poważnych literatów i mężów nauki stanęło za tem żądaniem... Cofnijmy się wstecz o lat kilkadziesiąt, a może znajdzie się wówczas drogowskaz, który nam wskaże, gdzie leży owa świątynia pojednania wszystkich rozbieżności w dzisiejszej walce o język łowiecki.

Wówczas wychodziły w trzech rozbiorami rozdzielonych dzielnicach Polski trzy pisma łowieckie. Zajrzyjmy do tych roczników, a spotkamy — z niemałem dzisiaj zgorszeniem — we wszystkich tych polskich pismach w użyciu z obcych terminologji zaczerpnięte wyrażenia i nadto wszystkie nawet w nieświadomości, że to czynią! Więc jedno z nich (patrz rocznik 1907) wytyka drugiemu: fretkę, wizerowany, kümerer, a to znów pierwszemu: sztuciec, pürszowy, weksel, dryling, ekspandował i t. d. Wszystkie te wyrażenia terminologiczne i wiele innych znaleźć można w każdym numerze ówczesnych pism łowieckich.

A jak jest dzisiaj?.. Dzisiaj, coprawda — wystrzegają się ich używać w czysto zawodowej prasie i zboczenia od „gwary" nie występują tak jaskrawo, jak dawniej. Ale czy je wytępiono zupełnie? Bynajmniej!...

Czasopisma, gdy raz po raz znajdzie się dla dekoracji jakiś beletrystyczny artykulik myśliwski, tam już bez skrupułu popuszczają wodze językowi „łacińskiego strzelca".

Stawiam teraz pytanie: czy tak być powinno? Czy naród z taką tradycją myśliwską, z tak bogatą terminologją, powinien sięgać po plagjat wyrazów z obcych języków, skoro je znajdzie we własnym?! — Sądzę, iż odpowiedź byłaby tu zupełnie zbyteczna...

A teraz zkolei postawimy pytanie: czy wogóle dla piśmiennictwa myśliwskiego potrzebny jest osobny język, czy też — jak to czytaliśmy w artykule p. M. K. Pawlikowskiego — nie pójść w ślady owych „bardzo poważnych i kulturalnych myśliwych" i poprostu uznać używanie go za „pretensjonalne", nietylko w gronie myśliwskiem, ale nawet w prasie go zaprzestać, uważając jako „bicie na oryginalność"?...

Każda nauka, sztuka i zawód z biegiem czasu, nabytej doskonałości i postępu kultury przyswoiły sobie pewną ilość oznaczeń, już to na swe czynności, już to na przedmioty w ich użyciu będące. Ułożone one zostały następnie w spis nazw technicznych, właściwych danej nauce, sztuce i zawodowi i nazwano to nomenklaturą. Nomenklaturę mają w użyciu muzy, mają je zawody, a nawet i sporty we wszystkich fachowych czynnościach, rozmowach, a już przedewszystkiem w fachowych pismach.

Nie do pomyślenia jest np. ażeby kapitan statku, czy to w urzędzie, na morzu, czy w towarzystwie na lądzie, wyrażał się jak „szczur lądowy". Albo żeby sprawozdawca muzyczny w referacie z koncertu miał wysłowić się: artystka nasza niskim głosem żeńskim (czytaj altowym) w muzyce pod oknami (cz. serenadzie) zaznaczyła w ozdobie muzycznej (cz. trylu) wiele szkoły i rutyny. Albo gdyby krytyk wystawy sztuki malarskiej miał oznaczenia: tryptyk, perspektywa, stafaż, polichromja, martwa natura, akt i t. p. zastąpić innemi wyrazami, nieznanemi w sztuce malarskiej. Sprawozdania w tej formie nie umieściłoby żadne czasopismo, a przecież tu chodzi również tylko o zamianę przyjętych wyrażeń sztuki, w przeistoczenie, przyswojenie w mowie potocznej.

Jeżeli więc pewne zajęcia ludzkie i z niemi połączone czynniki, zostały określone specjalnemi nazwami i wniosły tyle postępu, iż wymagał on ułożenia technicznego spisu, t. j. nomenklatury i terminologji — to do nich należeć powinno niezaprzeczalnie i łowiectwo, tak w mowie, jak i w piśmiennictwie.

Przyznać jednak trzeba, iż wobec rozbieżności dzielnicowych, pozostałych po rozbiorach kraju i w innych polach działalności, dość wybitnie zaznaczyły się dyferencje w dziedzinie łowiectwa i długo pewnie jeszcze czekać będziemy i wołać o kongres interesowanych dla ułożenia wspólnej, współczesnej technice i wiedzy odpowiadającej terminologji. Dla tego jednak nie można w piśmiennictwie łowieckiem pozostawić dotychczasowego bałaganu, ale należy z publikowanych słowników języka łowieckiego wyłączyć obecnie zawsze jeszcze aktualne nazwy i oznaczenia i temi się posługiwać.

Tą drogą poszła redakcja „Łowca Wielkopolskiego" w 1907 r. i złożyła z pomocą dobrej woli miejscowych myśliwych terminologję, którą wymienił p. J. W. Kobylański w swym bibljograficznym artykule. Nie wspomniał tylko o jej praktycznem ułożeniu — (czemu się zresztą, dla krótkości czasu — jakiego mu do przejrzenia udzieliłem — dziwić nie można). Odbiega ona od innych słowników, iż nie jest ułożoną alfabetycznie, ale według gatunków zwierząt, części ciała, ich czynności i t. d., co w praktyce ułatwia jej użycie i nie potrzeba całego słownika przeszukiwać, aby znaleźć potrzebny a nieznany nam wyraz. W ten sposób ułożona terminologja, składająca się z najbardziej i dzisiaj jeszcze w użyciu będących oznaczeń,

zebraną została według następujących autorów: W. Kozłowski, Bielawski, Ostroróg, I. Szlezygier, W. Korowski, J. Oreński, Józef hr. Dunin - Borkowski, służyćby więc mogła tymczasowo za wystarczający podręcznik dla redakcyj i tych autorów - myśliwych, którzy zasilają czasopisma artykułami łowieckiemi. Niestety, „Łowca Wielkopolskiego" jest tylko jeszcze w komplecie jeden egzemplarz (a ten ma przyrzeczony p. J. W. Kobylański do swoich zbiorów bibljograficznych), więc należy zwrócić się do innych źródeł. Jest też jeszcze słownik myśliwski polsko-niemiecki X. L. Niedbała, niestety, potrzebujący wielu uzupełnień, a także i poprawek. (Mam go w tym celu ciągle pod ręką i ma on również uzupełnić zbiory p. Kobylańskiego). Ale w każdym razie lepszy ten, niż żaden — zwłaszcza gdy się uwzględni jego skorowidz terminologiczny przy końcu wydawnictwa.

Bądź co bądź — czy temi wskazanemi tutaj podręcznikami — czy też zbiorową akcją myśliwych z inicjatywy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, czy też redakcji „Łowca Polskiego", ale sprawą słownika bezzwłocznie, jako palącą, zająć się należy.

Dla przykładu spójrzmy na czasopisma i wogóle na piśmiennictwo w połączeniu z beletrystyką myśliwską naszego zachodniego sąsiada. Radziłbym naszym oponentom potrzeby jej zastosowania przejrzeć je i podziwiać, z jaką skrupulatnością uważa się tam na zachowanie w czystości języka myśliwskiego, nietylko w czasopismach, ale także u tak licznych autorów-beletrystyki łowieckiej.

Czy my, naród z tak wielką tradycją na tem polu, mamy pozostać w tyle za innymi?

A więc przedewszystkiem wyrugować dla samego przykładu z czasopism wszelkie niewłaściwości językowe, wywołujące wprost zgrozę u prawidłowych adeptów sztuki myśliwskiej. A jeżeli nadto przy śniadankach i biesiadach myśliwskich mówić się dalej będzie, jak się dawniej mówiło: raz krew, raz farba, raz rogi, raz wieniec — raz krowa, raz klempa, to wywietrzeje przez noc, jak ta „czysta", co się ją dzień przedtem wypiło — bo *„verba volant"!* Ale i to się z czasem odmieni... a wówczas nie należy zapominać, iż *„scripta manent"* na zawsze...

WŁADYSŁAW JANTA - POŁCZYŃSKI.

ZBLIŻAMY SIĘ DO ROZWIĄZANIA WAŻNYCH SPRAW.

Jedną z większych trosk myśliwych, nierozporządzających własnemi łowiskami, jest przedewszystkiem zdobycie drogą wydzierżawienia odpowiednich terenów, t. j. takich, które nietylko posiadałyby naturalne warunki, konieczne dla utrzymania się na nich zwierzyny danego gatunku, lecz przedewszystkiem były odpowiednio pod względem łowieckim zagospodarowane.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Żeby myśliwy-hodowca miał możność stosowania intensywnej działalności hodowlanej, przy jednoczesnem wykonywaniu racjonalnego odstrzału w granicach tej hodowli, trzeba, aby warunki umowne dzierżawy pozwalały na swobodne rozwinięcie gospodarki łowieckiej i nie krępowały hodowcy żadnemi niuzasadnionemi ciężarami, lub ograniczeniami, pod względem zbioru plonów jego pracy, przeciwnie: żeby gwarantowały mu, wzamian za poczynione inwestycje kapitału, włożoną wiedzę i trud, na zasadzie rezultatów jego wieloletnich zabiegów, dostateczny okres czasu do racjonalnego realizowania owoców tej gospodarki, oczywiście bez zasadniczego podwyższania opłacanego dotychczas za dzierżawiony teren czynszu.

Te postulaty zostały całkowicie ujęte przez Redaktora W. Garczyńskiego w jego wyczerpującym temat artykule p. t. „W sprawie dzierżaw terenów łowieckich w lasach państwowych" (drukowanym w Nr. 5, 6, 7, 8 „Łowca Polskiego" z 1935 r.), a dałyby się objąć, gdy chodzi o stosunek Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych do łowiectwa wogóle i do dzierżawiących tereny państwowe myśliwych, dwoma zasadniczemi punktami reorganizacyjnemi:

1. Potrzebą zreformowania polityki N. D. L. P, dotyczącej całokształtu łowiectwa w lasach państwowych, jako gałęzi gospodarczej, stanowiącej część bogactwa ogólno-krajowego;

2. Koniecznością należytego ustosunkowania się do dzierżawców prawa polowania.

Tytuł niniejszego artykułu usprawiedliwia fakt, o którym dowiadujemy się okólną drogą.

Oto konsulent Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych do spraw łowiectwa, przy Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych, p. inż. Herman Knothe, złożył w jesieni ub. r. władzom N. D. L. P. wyczerpujący, niezmiernie szczegółowo opracowany referat - projekt, co do ustalenia i zastosowania w najbliższej przyszłości określonej linji polityki w gospodarce łowieckiej. Oczywiście kwestja dzierżaw i dzierżawców stanowi tam tylko jedną z ważniejszych części zasadniczych.



Rewir Przewrotne. W upalne dni nad bezpieczeństwem kniei czuwa na wieży gajowy. Fot. St. Politalski.

Projekt ten wypływa przedewszystkiem z głębokiej fachowej wiedzy autora, który opiera się nadto o pięcioletnie doświadczenie i badanie dotychczasowych stosunków, panujących w tym dziale gospodarczym państwa. Projekt ten, stosując krytykę, daje jednocześnie umotywowaną rachunkowo inicjatywę nowych planów działalności łowieckiej o znaczeniu ogólnem, które nie mogłyby być inną drogą skuteczniej wprowadzone w życie, jak przez zeŝrodkowane pod jednym zarządem olbrzymie przestrze-

nie lasów państwowych, rozrzuconych w większych kompleksach po całym kraju.

W pracy inż. Knothego, który świetnie się orjentuje w tem, co należy koniecznie zmienić i jakie ramy zakreślić całokształtowi państwowej polityki łowieckiej pod względem gospodarczym, omówione są szczegółowo wszystkie kwestje, i metody postępowania na przyszłość.

Ze względu na doniosłość tego projektu celowem jest przyjrzenie się jego strukturze w głównych zarysach i podkreślenie najistotniejszych zasad gospodarstwa łowieckiego, o których traktuje.

Leitmotywem pracy p. inż. Knothego jest uznanie gospodarstwa łowieckiego w jego ogólno-krajowym zasięgu — nietylko więc na terenie lasów państwowych — jako jednego ze źródeł bezpośrednich i pośrednich dochodów i obrotów o poważnem ekonomicznem znaczeniu dla państwa.



Spłoszony. Fot. J. Kulesza.

Stąd dopiero wypływają podstawowe zasady gospodarki łowieckiej na terenach lasów państwowych, które streszczają się w następujących punktach:

1. Starania się o to, aby wszystkie występujące w naszym kraju rodzime gatunki zwierząt i ptaków łownych były utrzymane na przyszłość i zachowywane stale w najwyższych, gospodarczo dopuszczalnych ilościach, a przytem w jak najlepszych jakościach.

2. Zagospodarowania pod względem łowieckim bezwarunkowo wszystkich trenów lasów państwowych, nadających się do hodowli poszczególnych rozlicznych gatunków zwierzyny łownej — i to w jak najbliższym czasie. Liczebność zwierzostanów, musi być uzależniona od naturalnych warunków siedliskowych każdego łowiska (przy jednoczesnem uwzględnieniu podstawowego czynnika — hodowli lasu, jak również i tego, aby nie cierpiały przez to interesy sąsiadujących z lasami państwowemi właścicieli pól rolnych wskutek szkód, wyrządzanych przez zwierzynę).

3. Dążenia do tego, aby bezpośrednie dochody ze zwierzostanu w lasach państwowych, jako własności skarbu państwa, były możliwie jak najwyższe.

4. Traktowania zwierzostanu w lasach państwowych narówni z drzewostanem, lub innemi wartościami materjalnemi lasu, jako własności skarbu państwa.

5. W związku z powyższem eksploatowanie zwierzostanu na terenach lasów państwowych mogą wykonywać wyłącznie te osoby fizyczne lub prawne, które przedtem uzyskały to prawo od czynników, uprawnionych do zarządzania lasami państwowemi.

W celu wprowadzenia w życie powyższych wytycznych, inż. Knothe ustala szczegółowy program gospodarstwa łowieckiego.

Przedewszystkiem więc dokonany być musi racjonalny podział obszaru lasów państwowych na obwody łowieckie, mające się stać podstawowemi jednostkami gospodarczo - łowieckiemi. Zasadniczy podział tych obwodów na kategorje pozostaje ten sam, co dzisiaj t. j. na: a) wydzierżawione (lub przeznaczone do wydzierżawienia) osobom postronnym, b) reprezentacyjne, c) przydzielone do użytku personelowi administracyjnemu l. p. i d) długotrwałe mateczniki.

Wszelako ma być wprowadzone — w myśl zasad głównych — dążenie do powiększenia ilości obwodów wydzierżawionych (dochodowych), których nie powinno być mniej, niż 60 proc. ogólnej powierzchni, użytkowanej dla celów myśliwskich; terenów reprezentacyjnych (rozchodowych) nie powinno być więcej, niż 10 proc.; terenów, przydzielonych personelowi administracyjnemu — nie więcej, niż 20 procent i wreszcie pozostałe ca 10 procent stanowić mają tereny zagospodarowane stale przez administrację l. p. na użytek skarbu państwa i na mateczniki.

Co do taktyki, jaką wskazane jest zastosować przy tym podziale, zasługuje na uwagę mocne podkreślenie największej dochodowości z terenów wydzierżawionych, na których wszelkie koszty zagospodarowania, ochrony i utrzymania zwierzostanu, wynagradzania za szkody, a także wykonywania polowań ponoszą dzierżawcy, a do kas skarbowych wpływa, jako czysty dochód, czynsz dzierżawy.

Z tego względu *wobec dzierżawców należy ustosunkować się życzliwie, pomagać im w organizowaniu łowisk i hodowli zwierzyny. Umowy dzierżawne muszą być zredagowane w taki sposób, aby zabezpieczały interesy obu stron jednakowo.*

Z drugiej strony, dbając o stosowanie racjonalnej, a nie rabunkowej gospodarki, należy wybierać na dzierżawców jednostki o znanej reputacji pod względem umiejętności hodowli zwierzyny i stosowania prawidłowego myślistwa, szanujące etykę, a więc przedewszystkiem myśliwych, należących do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, jako osoby, tworzące kadry zdyscyplinowanych łowców.

Gdy chodzi o tereny reprezentacyjne, to w pierwszej linji należy ustalić ich wybór terytorjalny, określić ściśle obszar i granice. Przy wyborze tych terenów należy mieć na uwadze jak najbardziej ekonomiczne, właściwe ich zagospodarowanie, to znaczy, ażeby ochrona i utrzymanie zwierzostanu na danym terenie usprawiedliwione były odpowiedniemi warunkami siedliskowemi.

Następnie — przydział terenów do użytku personelu administracji l. p. winien być uzależniony od ilości osób, mających prawo korzystania z polowań w poszczególnych nadleśnictwach, według zgóry ustalonych przez N. D. L. P. norm. Tereny te również powinny posiadać warunki dla samoistnej gospodarki łowieckiej. Pożądanem jest, aby stanowiły one kompleksy odosobnione, otoczone polami, lub w najgorszym razie obwody skrajne, graniczące z polami. Gdy jednak kilka nadleśnictw graniczy ze sobą, tworząc wspólny duży kompleks, pożądanem jest, aby nadleśnictwa te otrzymały dla swych funkcjonarjuszy połączony teren w jednej ciągłości, w sąsiedztwie pól.

Tereny te muszą być z reguły zagospodarowane pod względem łowieckim przez użytkowników, na ich własny koszt, według wszelkich zasad racjonalnej gospodarki i *winny służyć przykładem wzorowego gospodarstwa łowieckiego.*

Administrowanie wszystkiemi terenami łowieckiemi N. D. L. P. powierza poszczególnym Dyrekcjom.

Natomiast zagospodarowanie łowieckie oraz eksploatację terenów Dyrekcje L. P. powierzają: na terenach wydzierżawionych — dzierżawcom, całkowitym ich kosztem i nakładem; na terenach przydzielonych — personelowi administracyjnemu na tych samych warunkach.

Zagospodarowanie łowieckie na obu tych kategorjach terenów winno być dokonywane według zgóry opracowanych przez jednostki eksploatujące indywidualnych planów, zatwierdzonych przez Dyrekcje L. P.

Pozostałe kategorje terenów łowieckich zagospodarowują Dyrekcje L. P. same, na koszt skarbu państwa, po uprzedniem uzgodnieniu planów zagospodarowania z N. D. L. P.

Wkońcu należy podkreślić, że w związku z takiem założeniem programu gospodarczo - łowieckiego, autor wymaga, ażeby w stosunku do każdego obwodu łowieckiego ustalona była jego indywidualna wartość łowiecka, to znaczy czy jest on odpowiednią jednostką do zagospodarowania pod względem łowieckim *samoistnie*, bez dodzierżawiania sąsiadujących obwodów „wspólnych", lub prywatnych własnych, czy też stanowi jedynie wartość gospodarczą *pomocniczą*, przedstawiając pełną wartość łowiecką dopiero po połączeniu z innemi obwodami w sąsiedztwie.

Prócz tego projekt inż. Knothego obejmuje szereg innych kwestyj, ściśle złączonych z ustaleniem racjonalnego gospodarstwa łowieckiego w lasach państwowych, które stać się mają w przyszłości olbrzymią remizą zwierzyny wszelkiego rodzaju, zasilającą automatycznie pozostałe łowiska w całym kraju. Wśród kwestyj tych i metod ich stosowania są omawiane: samowystarczalność w kierunku odświeżania krwi i rozwoju hodowlanego; utrzymanie racjonalnego stosusku płci; obowiązkowe wykonywanie odstrzału selekcyjnego; dokarmianie zwierzyny; ochrona przed drapieżnikami i kłusownikami; cennik zwierzyny odstrzałowej; rachunkowość i statystyka łowiecka itp.

Wszystkie te zagadnienia w myśl projektu inż. Knothego zostały przedyskutowane na specjalnie zwołanej konferencji przedstawicieli wszystkich Dyrekcyj l. p. w dniu 12 listopada 1935 r.

Projekt p. inż. Knothego, po przeprowadzeniu obszernej dyskusji nad poszczególnemi punktami, został przyjęty w całej rozciągłości przychylnie i uznany za racjonalnie opracowany, należy się więc spodziewać, że już w najbliższej przyszłości będzie on w szczegółach wprowadzony w życie, ujednostajniając zbudowaną na istotnie właściwych zasadach linję polityki gospodarstwa łowieckiego w lasach państwowych i otwierając przez to drogę do zracjonalizowania ogólnych stosunków łowiectwa w Polsce .

Osobnym roztrząsaniom poddany był dotychczasowy tryb administracyjny w sprawie dzierżaw i uznane zostały zmiany projektodawcy pod względem sposobu wydzierżawiania terenów łowieckich w lasach państwowych, praw i obowiązków dzierżawców, terminów umownych, opłat i rygorów kontraktowych.

Z wiadomości, które do nas doszły, można sądzić, że w łączności z powyższem ta ostatnia sprawa wejdzie nareszcie na tory właściwe, zgodne z postulatami szerokiej opinji prawidłowych myśliwych, tworzących zasadnicze kadry kandydatów na dzierżawców terenów państwowych.



Pan Minister Czesław Michałowski z niedźwiedziem, ubitym 30.XI.1935 r. w nadl. Sołotwina Mizuńska (leśn. Soboi).

Jeśli wkrótce zostanie również zatwierdzoną przez władze nowelizacja prawa łowieckiego, czego następstwem będzie wreszcie konsolidacja myśliwych wszystkich kategoryj, podniesienie się ogólnego poziomu etyki i zwycięstwo idei gospodarczo - hodowlanej, jeśli zastosowane zostanie do myśliwych odpowiednie, usprawiedliwione opodatkowanie — będziemy mogli śmiało powiedzieć, że łowiectwo polskie wkroczyło na właściwą drogę, co już z łatwością pozwoli mu osiągnąć stopniowo najwyższy rozwój, zagwarantowany wybitnie sprzyjającemi warunkami naturalnemi, a także należne mu miejsce w ogólnej klasyfikacji wartości łowiectwa w krajach europejskich.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1936, na I półrocze, na I kwartał, lub na miesiąc marzec.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

„SZCZĘŚCIARZ".

(Feljeton o niedoli ludzkiej).

Po dłuższej wycieczce narciarskiej nieco znużony, powróciłem przed chwilą do domu. Zmieniwszy ubranie, rozsiadłem się wygodnie na otomanie i popadłem w beztroską zadumę. Byłem tak rozleniwiony, że nie chciało mi się wstać, by przynieść sobie coś do czytania. Sięgnąłem tylko machinalnie i wziąłem ze stolika oprawny tom wileńskich „Trąbek Myśliwskich", a otworzywszy go na chybił-trafił, natknąłem się akurat na własny feljeton z przed 5-ciu lat p. t.: „Sarna, czy panna". Ulokowałem się wygodnie i zacząłem czytać.

„Polowania u państwa N. miały już oddawna swoją ustaloną opinję. Zarówno ilość zwierzyny w łowisku, jak i organizacja łowów bywały zawsze bez zarzutu, toteż z największą radością powitałem miłe zaproszenie „na kozła" i wkrótce ciężko sapiący pociąg wiózł mnie na łono dzikich kniej — na łowy.



Oparzeliska nad starym Sanem. Fot. kpt. Szczepański

„W salonie, w wigilję mającego się odbyć polowania, rojno było i gwarno. Grono myśliwych rozprawiało z ożywieniem na tematy hodowlano - łowieckie, przekomarzając się i dowcipkując z obecnemi paniami. Jednak w duszy każdego z łowców rodził się pewien niepokój o jutro. A przyczyną tego była jedynaczka państwa N. — Jadwiga. Panna ta, będąca niezrównaną towarzyszką zabaw w salonie, była zarazem na polowaniu istotą wielce niebezpieczną. Dźwięczny bowiem organ jej głosu brzmiał bez przerwy na stanowisku, przerywany ponadto salwami perlistego śmiechu, a wiercąca się ustawicznie sylwetka odstraszała wyśmienicie zwierza, toteż łowiec, któremu panna Jadwiga zechciała towarzyszyć — nie obfitował nigdy w bogate łupy. I dlatego każdy z nas, choć wzdychał do niej w salonie, na łowach bał się jej towarzystwa. Toteż „niepewne" jutro mąciło harmonję rozbawionego grona gości.

„Aż nadeszła wreszcie upragniona chwila, nadeszło to jutro. Przed ganek zajechały olbrzymie parokonne sanie, wysłane obficie słomą, w której ulokowali się wygodnie uczestnicy dzisiejszego polowania i ruszono do kniei. Za nami mknęły drugie sanie, wiozące gajowych i niemiłosiernie skomlące psy. Jechaliśmy drożyną leśną. Dookoła rozciągały się połacie czarnej olchy, karłowatej brzozy i gęstej, krzaczastej łozy. Wreszcie sanie stanęły, nastąpiło pożegnanie, bowiem stąd każdy już sam musiał się udać na wyznaczone sobie stanowisko.

„I właśnie teraz stała się rzecz, której się wszyscy tak obawiali: panna Jadzia miała wybrać sobie towarzysza łowów. Los padł na mnie. Z udaną radością przyjąłem to do wiadomości (miałem wówczas 27 lat), lecz sytuacja moja była aż nazbyt przejrzysta. Sarny zginęły bezpowrotnie — pozostała panna. Widziałem uśmiechy na ustach mych kolegów, rozumiałem, co one znaczą, lecz postanowiłem być mężnym do końca. Zresztą towarzyszka moja była skądinąd osóbką bardzo miłą.

„Porzuciwszy polanę, zagłębiliśmy się w las, przywalony śniegiem. Droga była nad wyraz uciążliwa; cienka skorupa śnieżna nie utrzymywała jeszcze ciężaru człowieka, toteż zapadaliśmy się co chwilę powyżej kolan, które pod wpływem zmęczenia zaczynały się już uginać, a bujne krople potu zraszały czoło. Wreszcie zmęczeni dotarliśmy do stanowiska. Panna Jadzia oparła z rezygnacją strzelbę o pień pobliskiego drzewa, gdy naraz gdzieś w oddali buchnął strzał i — niby zgiełk trąb — popłynęły potężne echa gonu. Drgnęliśmy oboje, ale wnet panienka powróciła do równowagi i zaczęła rozmowę. Próbowałem oponować, lecz perswazje moje nie odniosły pożądanego skutku.

— Czy panu tak bardzo na tych łowach zależy?

„Po tem retorycznem pytaniu wszelkie moje nadzieje myśliwskie prysły bezpowrotnie, zwłaszcza, że ubiór i zachowanie się panny Jadzi jawnie przeczyły elementarnym regułom łowieckim.

„A tymczasem las napełnił się wrzawą. Psy, biegnące śladem ruszonych sarn, gubiły często trop, ujadanie milkło — by za chwilę się dołowić i popłynąć gamą dźwięków przez zamarłą knieje. Gon posuwał się bokiem. Znać było, że miejscowe sarny zataczają koło.

„Przed nami nagle mignęło coś czarnego i oto ukazało się wydłużone w skoku ciałko zajęcze. Podrzuciłem strzelbę do twarzy, lecz w tejże chwili drobna rączka, opięta w cienki zamsz, spoczęła na lufach mej dubeltówki. I znowu urocza myśliwa zwróciła się do mnie:

— Czy można takie śliczności strzelać?

Argument ten musiał być przekonywający, więc mu uległem, a szarak znikł nam z oczu, za co otrzymałem śliczne spojrzenie, pełne niemej podzięki. A gon znowu się zbliżał. Już wyraźnie słychać było pojedyncze skandowanie poszczególnych psich głosów, tworzące wspólnie wspaniałą symfonję, tak miłą dla ucha łowca.

„Tymczasem panna Jadzia szczebiotała nadal. Srebrny dzwonek jej głosu wydał mi się w tej chwili strasznym. W duszy mej powstał groźny bunt — bunt roznamiętnionego zewem łowów myśliwego. Panując nad ogarniającym mnie coraz bardziej gniewem, użyłem środka ostatecznego. Zaproponowałem, aby przerwać rozmowę, a wówczas może się uda zabić kozła i otrzymać berło królewskie na dzień dzisiejszy. Plan mój się udał. Ambicja panny Jadzi wzięła górę nad jej ruszalskiem usposobieniem i od tej chwili tak upragniona cisza zapanowała na mem stanowisku. Lecz, niestety, było już zapóźno, sarny nas ominęły.

„Na linji padły strzały, głos trąbki obwieścił koniec polowania i zeszliśmy ze stanowiska bez strzału. A kiedy przy ognisku na leśnej polanie, fanfara ogłaszała króla polowania — oczy panny Jadzi zwróciły się na mnie z żalem, mój wzrok zaś odpowiedział jej niemą wymówką. I zawahałbym się w tej chwili z pewnością, gdyby ktoś mnie zapytał: sarna, czy panna"?

Zaledwie przebiegłem wzrokiem ostatnie wiersze

tego feljetonu — w przedpokoju zadźwięczał brzęk dzwonka. Skrzywiłem się nieco, gdyż będąc zmęczonym, nie pragnąłem wcale gości. Ale już drzwi gabinetu rozwarły się szeroko i stanęła w nich chuda, wyniosła postać, przypominająca wyglądem zasuszonego nieboszczyka.

— To ty, Jerzy! A już się przestraszyłem...

— Widzę, żeś gościnny, niema co mówić! Szkoda, że o twej uprzejmości Zabiełło nie napisał w Jednodniówce.

Usiadł obok, wyjmując z kieszeni nieodłączną papierośnicę, puknął parokrotnie tutką w rozwarte wieczko i wetknąwszy papieros w usta, ściągnął ze stolika zeszyt „Łowca Polskiego".

— O, pardwy na okładce! Kiedyż ty wreszcie napiszesz o tych swoich białoskrzydłych. A to ględzisz o wronie, jak stary nudziarz, przez kilka numerów. Myślisz, że ktoś twe bzdury czyta? Ale o, spójrz!

I podsunął mi przed oczy trzymany zeszyt pisma.

Spojrzałem na fotografję. Podpis głosił: Róża ks. Lubomirska ze swym kapitalnym szesnastakiem etc.

— Piękna — odpowiedziałem.

— Myślisz o ilustracji?

— Ale skąd! O tej pani — dorzuciłem pośpiesznie.

Jerzy wyprostował się groźnie i spojrzał surowo. Potem grobowym głosem powiedział:

— Zobaczysz, że dzięki kobietom — zginiesz. Ja ci to mówię. Ale do rzeczy. Czy nie pojechałbyś jutro na dziki?

— Oczywiście, że pojechałbym. Do kogo mamy jechać?

— Nie znasz pani Marysi S. Przemiła wdówka. Z puszczy Nalibockiej zachodzą do jej lasów każdej zimy dziki. Masz tu zaproszenie.

I podał mi bilecik, na którym śmiałym charakterem kobiecego pisma nakreślone było kilka zdań: „Bardzo mi będzie miło gościć u siebie tak znanego pisarza" i t. d.

— Jeszcze jedno, odezwał się Jerzy, koszty przejazdu ja opłacam, bo powinszuj, wczoraj wygrałem 500 złotych na Loterji Państwowej. Lekko przyszły to część mogę puścić!

— Ależ z jakiej racji? — próbowałem oponować.

— Powiedziałem raz i koniec: koszty moje.

Wypalił papierosa i podniósł się z otomany, obciągając marynarkę, która dlań była zawsze za obszerna.

— No, nie przeszkadzam, pakuj manatki i do zobaczenia jutro o 8-ej na dworcu.

Od drzwi jednak powrócił.

— Słuchaj, tylko żebyś mi koło pani Marysi, tego...

— Rozumiem, rozumiem — roześmiałem się na głos.

— Bo ty szczęściarz jesteś — mruczał wychodząc.

*

Po wyjściu Jerzego już w godzinę byłem gotów do drogi, a kładąc się spać — wciąż myślałem jeszcze o tem, czy nie zapomniałem czegoś zabrać. Bo dziki dla wilnianina to rarytas, to taka osobliwość, jak dla poznaniaka drop, lub dziki łabędź, jak wreszcie dla małopolanina byk, kapitalny dwudziestak.

Podróż koleją zbiegła nadspodziewanie szybko. Rozweselony Jerzy opowiadał swe niezrównane anegdotki, z których śmiał się cały przedział, a przedewszystkiem dwie studentki, siedzące pod oknem i kryjące skwapliwie rumiane buziaki w futrach kołnierzy. Trząsł się nawet w paroksyzmie chichotu i pulchny ksiądz-proboszcz, a trzymając się za drgający żołądek — powtarzał z litewska: „A to kamedyjantus!"

Ale oto przed oknami wagonu mignął szyld stacji Juraciszki. Wysiedliśmy. Z pomiędzy zabudowań kolejowych wyskoczył tęgi wyrostek w czarnym kożuchu, przepasanym czerwonym, tkanym pasem.

— A, „Himpolit", szto czuwać — wykrzyknął Jerzy.

— Niczoho panok — odparł roześmiany wesoło chłopak, znający widocznie dobrze mego towarzysza i powiódł nas ku oczekującym saniom. Jerzy z „Himpolitem" zajęli miejsce na przedniej ławce, ja zaś usiadłem „za pasażera", biorąc na nogi cały bagaż naszej ekspedycji.

Sucha twarz Jerzego rozjaśniła się w uśmiechu. Ujął lejce i trzasnąwszy z bata nad tłustemi grzbietami kasztanów, skierował ekwipaż na wytartą dróżkę polną.

— To mój żywioł — mówił, obracając się ku mnie. — Jestem wieśniakiem z urodzenia, chowałem się i wzrastałem wśród pól i lasów, i do nich mi tęskno zawsze, gdy mury miasta zamkną widnokrąg. Tutaj oddycham swobodniej, a pierś podnosi się rytmicznie, wchłaniając siłotwórczy ozon. Oko ślizga się wesoło po równinie ośnieżonych pól, po labiryncie leśnym. Dopiero tu czuję się szczęśliwym. Albo taka jazda — czyż nie milsza od gnuśnienia w dusznej karetce auta, przesiąkniętej wonią skóry i benzyny? Zresztą prawda, ty też wieśniak — rozumiesz.



Z Poleskiego T-wa Myśl. W oczekiwaniu na rezultat obcinki rysia. Fot. J. hr. Dunin-Karwicki

Rozmarzony Jerzy zbyt zaufał koniom, a tymczasem rozpędzone sanie wskoczyły jedną płozą na zmarzniętą grudę ziemi.. Uderzenie było tak „delikatne", że odrazu wyleciałem w powietrze i, przybrawszy idealnie siedzącą postawę, klapnąłem zwysoka na szklistą taflę przydrożnego rowu, po której przejechałem z impetem parę metrów. Mój chudy woźnica starannie rozcierał kolano, a chichocący „Himpolit" zbierał szeroko rozsiane manatki.

— To dobry omen — tłomaczył zrównoważony jak zwykle Jerzy. — Czy aby tylko broni nic się nie stało?

Pomknęliśmy dalej. „Himpolit" wybuchał salwami spazmatycznego śmiechu, Jerzy mniej filozofował, ja zaś czułem głaskaniem starałem się uśmierzyć srodze rozdrażnione upadkiem swoje kościste biodro.

Nagle „Himpolit" podniósł się z siedzenia i zawołał.

— A un panienoczka!

Spojrzeliśmy w dal. Z pod lasu cwałował ku nam jakiś jeździec. Jerzy powstał, chwilę przyglądał się, wreszcie wybuchnął gardlanym rykiem, który miał być imitacją śmiechu.

— Mówiłem ci, żeś szczęściarz! To panna Jadzia.

Zrobiło mi się naraz ogromnie gorąco, poczem przeniknął mnie przejmujący chłód.

— Jaka Jadzia? — zapytałem struchlały.

— Jeszcze się pytasz, przecież masz szczęście, zdaje się, tylko do jednej Jadzi, Jadzi N.?

Pociemniało mi w oczach. Przepadły dziki — pomyślałem.

— Dobrze — wyrzekłem dziwnie cicho — ale skądże ona tutaj?

— O, Jadzia jest serdeczną przyjaciółką pani Marysi i często spędza u niej całe tygodnie! Nie mówiłem ci o niej, gdyż nie spodziewałem się ją tu zastać, a przytem z ciebie taki ekscentryk — mógłbyś jeszcze nie przyjechać. Ale teraz już stało się.

— Stało się — powtórzyłem jak echo i odrazu pomyślałem, że dobry omen wypadnie tylko dla Jerzego.

Panna Jadzia była już przy saniach i, wstrzymując cuglami rozpędzonego wierzchowca, witała nas perlistą kaskadą melodyjnego głosu.

*

Po przemiłym wieczorze, spędzonym w towarzystwie obu pięknych i gościnnych pań, po rzetelnem wyspaniu się nocą — znaleźliśmy się wczesnym rankiem weseli i wypoczęci w kniei na stanowiskach. Stary gajowy, pozostawiając mnie samego, szepnął, że: „miestca sama dobra". Miałem przed sobą dróżkę leśną, biegnącą przez zwarty młodniak świerków i olszyny, idący z głębi mieszanego lasu — ku mnie. Piękne stanowisko, dziś mam je jeszcze przed oczami! Stałem na flance. Na lewo tkwił gdzieś Jerzy, a jeszcze dalej syn gajowego. Panie zostały w domu.

Siwy, siedemdziesięcioletni pewnie „Wałodzia", w towarzystwie łaciastego kundelka — miał napędzać dziki na ukrytych strzelców. Pani Marysia zaręczała, że rezultat łowów będzie dodatni — wierzyliśmy wen tedy bezgranicznie.



Od jednej kuli. Fot. Wł. Korsak.

Udeptawszy śnieg, zamarłem w bezruchu na tle młodego, bujnie rozkrzewionego świerka i, ściskając nerwowo szyjkę Mannlichera — czekałem. Była oczywiście opiewana przez myśliwych cisza, spadał z konarów śnieg prawie zlodowaciały, krzyczała naturalnie sójka i pukał, a jakże, dzięcioł. Nie słyszałem tylko „kwilenia niewidocznego jastrzębia", o którym wspominają zawsze pisarze łowieccy.

I nagle tuż za mną zachrzęścił zakrzepły na mrozie biały pokrowiec. Czyżby dziki? Lecz napięte nerwy odprężyły się odrazu, gdy zza krzaków wynurzyła się poczciwa głowa konia. Panna Jadzia skinęła mi przyjaźnie różową, roześmianą twarzyczką i względnie cicho podjechała, wyciągając drobną rączynę na powitanie.

— Ja pamiętam już, że trzeba cicho — szepnęła z westchnieniem.

Lecz za chwilę znowu coś powiedziała, a potem mnie zkolei zapytała i ponownie jakieś słówko dorzuciła. Źle!...

— Moja złota, kochana, najmilsza panno Jadziuchno, niech pani odjedzie na kwadrans, ot tam za te krzaki, a ja potem panią zaproszę — palnąłem bez pardonu.

— Pan jest dziś taki jakiś... nieciekawy. Odęła grymasem śliczne usteczka. Dziwni są ci... myśliwi. Inny na pana miejscu... Szarpnęła gniewnie konia i ruszyła z powrotem. Rumak, dostawszy ostrogę, skoczył nerwowo, aż skorupa zamarzniętej kałuży pękła z trzaskiem.

A ja zdębiałem. Bo oto o trzydzieści kroków przedemną zaszumiały gąszcze, a głośne fukanie spłoszonego dzika obwieściło mi o jego nagłej ucieczce. Hu-hu- leciało jeszcze z oddali, spadając na mą biedną czaszkę, jak uderzenia młota. Odyniec, stary szelma i spryciarz, podkradł się widocznie krzakami pod stanowisko, a zgorszony mojem grubjańskiem zachowaniem się wobec złotowłosego anioła w dżokejce i bryczesach — zwiał oburzony. Straciłem śliczną dziewczynę i przegapiłem dzika. A ten drań, Jerzy, mówił jeszcze, że wypadek w czasie podróży, to dobry omen.

Na starej smudze błotnej, gdzie stał ten mój przyjaciel, zahuczał strzał jeden, a po kilku minutach i drugi. Ani chybi — zabił mego odyńca — pomyślałem z zawiścią, ale dlaczego walił raz jeszcze? Nie było jednak czasu na domysły, bo zajęczał już gdzieś daleko piskliwy gon pieska „Wałodzi", który widocznie ruszył dziki. Głos ten ponownie mnie zelektryzował, ale tylko na krótko. Zwierzyna szła bardzo odemnie daleko, a po wystrzale syna gajowego — gon ucichł.

— Drugi zabity — szepnąłem z rozpaczą.

I tak było w istocie. Gdym zbliżył się do stanowiska Jerzego, ujrzałem go, oglądającego sporego odyńca, o pięknych szablach. Na mój widok, uśmiechnął się ironicznie i, uchylając czapki, rzekł:

— Dziękuję uprzejmie panu Delegatowi za dzika. Kto chce polować, nie powinien bawić się w amory.

— Milczałbyś lepiej! Bodaj cię szlag trafił!

— Niema obawy, jestem zbyt szczupły — ironizował dalej.

— Nie rozumiem, poco strzelałeś drugi raz, skoro pierwsza kula była komorową — spytałem szczęśliwca.

— Wiesz, że dobrze strzelam dopiero po trzech kieliszkach wyborowej, ale tak naczczo... bałem się, że odyniec pójdzie, więc choć się już chwiał — poprawiłem.

Roześmieliśmy się obaj i poszliśmy na trzecie stanowisko, z którego „Wałodzia" wlókł w naszą stronę dobrego wycinka, ubitego przez syna, który pobiegł po sanie do gajówki. Miała rację kochana nasza gosposia: rezultat polowania był doskonały. Dwa dziki ruszono w ostępie i dzięki świetnemu rozstawieniu strzelców — oba padły.

A jednak pani Marysia była zmartwiona, że właśnie ja — gość, polujący u niej po raz pierwszy, nie miałem dzika. Ta najukochańsza, rozczulająca gościnność kresowa goi najcięższe nawet rany myśliwskiego serca. Toteż już w godzinę później zapomniałem o swem niepowodzeniu i czułem się nie mniej od innych szczęśliwy.

— Byleby tylko panna Jadzia ci przebaczyła, a szynkę odemnie dostaniesz — żartował uradowany Jerzy.

— Ja przebaczam — uśmiechnęła się panienka — bo pan i tak dziś biedny, ale na przyszłość już nigdy...

— ?...

— Już nigdy panu nie przeszkodzę — dodała ciszej.

Złota panno Jadziu! Kto jest takim jak ja „szczęściarzem", nie może być biednym z żadnego powodu. Pani też ten feljeton dedykuję, a pisząc go — mszczę się na Jerzym, bo... obiecanej wówczas szynki dziczej — nie przysłał.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



Wśród srogiej zimy. Fot. inż St. Steliński.

NA RZEŹ.

Wieczór idzie. Na świecie mróz. Wiatr od czasu do czasu zawieje i znika gdzieś — niewidziany. Wrony lecą nisko nad wsią, polatują, zbijają się w gęste stado, to znów rozsiewają się po zachodniem niebie. Czarny, zaciszny las wabi je ku sobie, obiecując w gałęziach spokój i ciepło, których niema na zaśnieżonych polach. Oto przeleciało stado, czarne kropki daleko widać nad polem, oto maleją — już zginęły....

Na zachodzie czerwonym, krwistym łukiem rozpaliła się krótka zimowa zorza. Akurat — jak gorący rumieniec, który krasi białą twarz dziewczęcia. Żóraw zaskrzypiał przy chacie, pod brzozą przysiadłej. Zachlupała rozlana na lodzie woda. Ktoś krzyknął silnie, wesoło. Dźwięk janczarów, uwieszonych na końskiej szyi — doleciał od drogi, wiodącej do dalekiego miasteczka z kościołem i wieżyczką, niewidoczną stąd za zasłoną z drzew. I zaczął zapadać zmrok.

*

Cisza — wiatr już nie szumi. Żaden dźwięk nie dolata — martwota. Płyną długie chwile w milczeniu, bo i niema do kogo ust otworzyć...

Cztery ściany dokoła — czarne, osmolone dymem i przepocone parą ściany „cieplicy", łaźni wiejskiej. Mały otwór w jednej z nich zastępuje okienko. Przez nie widać białą płaszczyznę, dalej — bagienko podleśne, porosłe karłowatą sośniną i brzózką, jeszcze dalej — czarna ściana lasu wpiera się w szafirowe, gwiaździste niebo.

Orda, chłop z tutejszej wioski, zna dobrze te strony. Wie gdzie jaka zwierzyna przebywa i jak ją przywabić, by jak najwygodniej i najbezpieczniej zdobyć.

Kilka dni temu porozstawiał o kilkanaście kroków od łazienki snopki koniczyny, wczoraj wysypał z kwartę wyki — i zasiadł dzisiaj nocką na czaty.

Czeka... Mróz wgryza się w palce przez grube, juchtowe buty. Stary, dziurawy kożuch i siwy „jermiak" jakoś nie chcą utrzymać ciepła. Strzelba zimna, jak lód, lgnie do rąk — niby lepem pokryta. Bystry jeszcze wzrok śledzi rozbójniczo białą pustkę... Kiedyż nareszcie przylecą te zatracone ptaki? Niech to jasny piorun trzaśnie!

Blask księżyca, odbity przez śniegiem pokryte płaszczyzny, wpada słabemi refleksami do wnętrza czarnej łaźni.

Cicho...

Powoli, powoli ciężyć zaczynają Ordzie powieki: przymyka je, znów otwiera, znowu zamyka — nie może się oprzeć. Sen rozlewa bezwład w ciele, przytłacza błogim komieniem. Orda kiwa się: naprzód — wtył, naprzód — wtył...

Popiskując cieniutko, uganiają się po stryszku myszy. Oto widać kilka drobnych, czarnych stworzonek na ubitej z gliny podłodze, przy stosie kamieni, który spełnia w czasie kąpieli rolę pieca, dającego „duch"... Coś zjadają apetycznie, biegają, wydzierają sobie jakieś drobiazgi — zapewne ziarna wyki, zgubione przez chłopa.

Orda poruszył się przez sen.

Drobne myszki znikły gdzieś w dziurawych ścianach. Próżno ich szuka tasiemka księżycowego blasku, biegnąca z góry przez tu i ówdzie przegniły dach...

Pies w wiosce zaszczekał — raz, drugi.

Raptem z nocnej ciszy wyprysnął znajomy dźwięk:

— Kirek... kirek...

Drgnął we śnie Orda. Strzelba omal nie zleciała z kolan na ziemię. Łypnął kilkakrotnie ciężkiemi powiekami, odetchnął głębiej, bo mu kłusownicze serce jakoś dziwnie mocno zabiło...

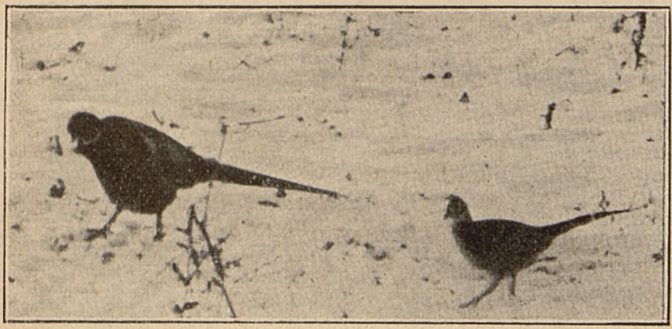
Schylił się wolno ku okienku — spojrzał na snopki: stały bezładnym szeregiem, miejscami zlekka przyprószone śniegiem. Więcej — nic! Czyżby ptaki uciekły, spłoszone nieznacznym szmerem wewnątrz łaźni?

Rzucił okiem trochę na lewo... Jedna, dwie... pięć....

siedem... dziewięć — tęgich, napuszonych od zimna kuropatw — naliczyły żarłoczne oczy.

— Będzie mięsiska — szepnęły do siebie głodne człowiecze żądze. Podniosła się powoli do oka broń, kawałek lufy wyszedł poza obręb łazienki, za okno. Zalśnił w świetle miesiąca metalowy guziczek, imitujący muszkę.

Tymczasem stadko kuropatw, zbite w gęstą gromadkę, zbliżyło się do największego snopka; przystanęło i, oglądając się dokoła, od czasu do czasu — wabiło...



Bażanty. Fot. J. hr. Żółtowski.

Orda wycelował w sam środek ciemnej grupki, wolno, dokładnie... Poco śpieszyć? Kuropatwy głodne, prędko stąd nie odejdą. Groźny mróz wżera się w ich ciała, okrutny głód, co skrył wszelkie potrawy pod twardym śniegiem — drwiąco spogląda im w ciemne oczy; więc nie odlecą stąd wpierw, nim się trochę nie pożywią. W pustych polach — śmierć czeka...

Orda jest starym, cwanym chłopem — kłusownikiem: on wie o tem dobrze, więc się wcale nie śpieszy.

Celuje, wciąż celuje — szuka najlepszej okazji. Oto pociągnął za zardzewiały cyngiel — klapnął spadający kurek, a wraz z nim potoczył się w podleśne błota huk strzału... Zaraz po pierwszym rozległ się drugi grzmot...

Za zasłoną z dymu Orda nie widział nic. Odrzucił na wiązkę słomy strzelbę i wybiegł za parkanik, klecony z długich „wierzchowin". Chytrym jego oczom przedstawił się apetyczny widok: trzy ptaki w konwulsyjnych drgawkach rzucały się na miejscu, tuż obok mającego je nakarmić snopka koniczyny; dwie sztuki o kilkanaście kroków dalej trzepotały rozpaczliwie skrzydłami; szósta pobiegła drobnemi kroczkami pod płot, okalający stodołę, przysiadła skulona i — tak trwała bez ruchu, jak martwa gruda. Siódma kuropatwa, to podlatując do góry, to skacząc przez kępy, porastające błotko, wlokła złamane, rozbite skrzydło...

Dwie cudem ocalały z pogromu.

Orda złapał w okrutne ręce najbliższe ptaki, zamachnął się do góry i rzucił je z siłą o twarde, zbite grudy lodu — niech się nie męczą, niech zdechną wreszcie!

Potem puścił się w pogoń za resztą: bez wysiłku ujął martwiejącego pod płotem ptaka; uciekającą po kępach bagna kuropatwę dogonił między gęstwą bezlistnych brzózek i, nogą kopnąwszy, pozbawił dalszych męczarni i trwogi....

Pozbierał wszystkie do kupy, ujął za łapki i, ważąc w ręku, mruknął do siebie.

— Siedem sztuk... dobrze... Dzieciom gęby zatkam i — na machorkę jeszcze stanie...

Splunął obficie na śnieg, pogroził pięścią w stronę, gdzie odleciały dwie ostatnie kury i burknął zawzięcie:

— I na was, cholery, przyjdzie czas: nie dziś — to jutro; czekajcie!

Ukrył strzelbę w „babkach" słomy w stodole, zaparł drzwi, wsadził ptaki pod połę kożucha i poszedł ciężko uliczką, biegnącą między zaśnieżonemi grzędami ogrodu — w stronę ciepłej chałupy.

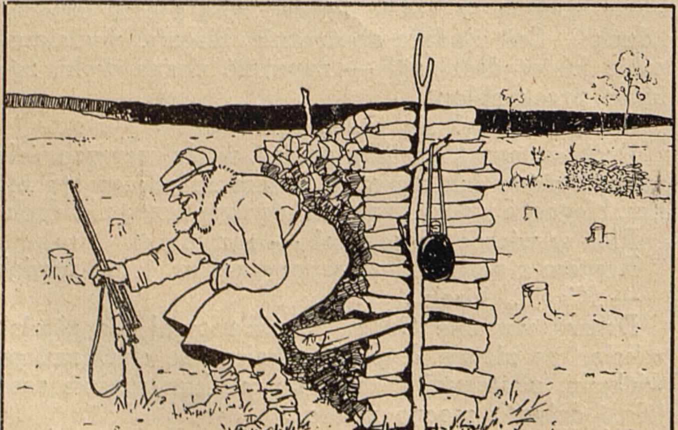
Po zaspach śnieżnych, po wszystkich odkrytych miejscach rozkładały się srebrno-sine blaski zimowego księżyca.

Niedaleko gdzieś kur zapiał...

TYTUS KARPOWICZ.

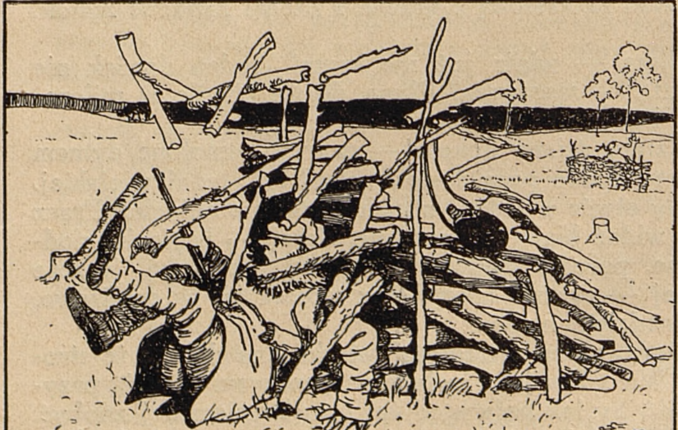
HUMOR MYŚLIWSKI.

I



Siądźmy sobie wygodnie... Zaraz wyjdzie kozioł...

II



! ! !

WYTYCZNE HODOWLI ZAJĘCY.

Nietylko w gwarze myśliwskiej, lecz również w gwarze ludowej zwie się zająca pospolicie szarakiem. Mianem szaraka obdarzono naszego zajączka nietylko dlatego, że wygląd jego jest szary, ale również dlatego, że tworzy ten szaraczkowy zastęp zwierzyny łownej, dostępny dla najszerszej szarej warstwy braci myśliwskiej.

Zając jest podstawą naszych łowisk i naszego łowiectwa. Jest on ośrodkiem zainteresowania wszystkich myśliwych i daje najgłówniejsze, podstawowe zyski z łowiectwa. Dlatego też obowiązkiem myśliwych jest dołożyć starań w kierunku rozwoju ilościowego zajęcy w łowiskach. By podnieść jednak stan zajęcy w polu czy w lesie, trzeba znać dokładnie warunki życiowe zająca oraz zasady racjonalnej jego hodowli.

Pomimo tak bardzo pospolitego występowania zajęcy na ziemiach naszych, piśmiennictwo polskie, dotyczące zająca, nie jest zbyt obfite. Ze ścisłych polskich prac naukowych o zającu znaną mi jest jedynie praca inż. Midowicza p. t.: „Charakterystyka zająca w województwie poznańskiem" — praca dotychczas niedrukowana). Opisuje również poszczególne gatunki zajęcy, występujących na ziemiach Polski, prof. dr. Niezabitowski w pracy p. t.: Klucz do oznaczania zwierząt ssących w Polsce". Ponadto istnieje dziełko W. Stephana p. t.: „Zając pospolity". Praca ta, wydana w r. 1905, dziś częściowo jest już przestarzałą.

Luźne artykuły, dotyczące zajęcy, nie ukazywały się również zbyt licznie na łamach naszych czasopism łowieckich.

Były artykuły „Jotki" w Nr. 48/30 i K. Komierowskiego w Nr. I/31 „Łowca Polskiego" oraz innych autorów na temat zajęcy i polowań na nie, a ostatnio w N-rze 31/35 ukazał się ciekawy artykuł Bronisława Adamowicza p. t.: „Troska o zwierzostan, a polowania w kotłach". W dopisku do artykułu tego Redakcja „Łowca Polskiego" zaznacza, że nie podziela poglądów co do skuteczności i znaczenia stosowania różnych systemów opolowywania terenu, mających powodować zachowanie większej ilości samic i nie wierzy w możliwość skutecznej ingerencji celem unormowania stosunku płci.

Zagadnieniem stosunku pomiędzy systemem polowania na zające, a płcią zajęcy, ubitych na poszczególnych rodzajach polowania, zajmuję się od r. 1922. Wyniki mych obserwacyj oraz ścisłych badań pozwalają mi jednak twierdzić, że zwiększenie się ilości zajęcy jest w znacznej mierze uzależnione od umiejętnego i celowego urządzania polowań, toteż pragnę podzielić się z czytelnikami „Łowca Polskiego" wynikami moich obserwacyj i badań w kierunku wytycznych hodowli oraz odstrzału zajęcy.

Nim przejdę do ścisłego tematu, chciałbym nadmienić, że w dziedzinie hodowli zajęcy podkarmianie zimowe, odświeżanie krwi, odstrzał drapieżników i t. p. zabiegi hodowlane są środkami dalej idącemi, są temi środkami, któremi niezawsze może dysponować każdy przeciętny myśliwy.

Kwestja odświeżania krwi, względnie pomnożenie stanu zajęcy przez wpuszczenie do łowiska importów, stanowi odrębny temat. Pragnę jednak wspomnieć, że z żadną zwierzyną łowną nie robi się tylu błędów pod względem odświeżania krwi, jak właśnie z zającami. Każdy nowy dzierżawca łowiska, który nie liczy się z wydatkami, zamawia bez liku drogie zające — importy, wpuszcza je do łowiska, a w następnym sezonie dziwi się, że żadnej nie widzi ilościowej poprawy.

Zając w wysokiej mierze jest przywiązany do miejsca urodzenia, jest — że tak powiem — *glebae adscriptus*. Przywiązanie to stało się zresztą przysłowiem. Zając, złowiony i przesiedlony do obcego łowiska, staje się bardziej bezradnym, niż każdy inny rodzaj zwierzyny łownej, mniej przywiązanej do miejsca swego urodzenia. W poszukiwaniu za utraconem miejscem wylęgu zając zaczyna wędrować. Z uwagi na to, że zasadniczo bywa wysadzany bardzo daleko od miejsca swego pochodzenia, nie dotrze zazwyczaj do niego i tak więc wędruje dalej i coraz dalej.

Bardzo często zdarza się też, że wraz z importami wywędrują z łowiska zające — tubylce; — przedewszystkiem ciągną samce za obcemi samicami (importowanemi). Zające ponadto bardzo często chorują na epidemje, które szczególnie podatne podłoże znajdują u zajęcy sprowadzonych, osłabionych i wymęczonych długą podróżą. Nie należy również zapominać o tem, że wpuszczanie zajęcy do łowiska uskuteczniać należy nad ranem, po wschodzie słońca, w pobliżu zagajników. Zając po wypuszczeniu z klatki nad ranem zaszywa się w gąszczu dla wypoczynku, przebywając tam do wieczora, przez co już pozna najbliższe okolice.



Słabe wyniki. Fot. M. Lissowski.

Kwestja wędrówek zajęcy importowanych dotychczas nie jest jeszcze dokładnie zbadaną. Zalecałoby się zatem dla dobra nauki znaczyć wszystkie wpuszczone do łowiska zające znaczkami (u nasady słuchów), na których wyryto rok wpuszczenia oraz miejscowość i powiat*). Skrupulatne i solidarne znakowanie importów oraz notowanie wędrówek zajęcy mogłoby po kilkunastu latach wyświetlić całkowicie kwestję ich wędrówek oraz celowość odświeżania krwi zapomocą wpuszczania zajęcy do łowiska.

Kwestję wpuszczania zajęcy do łowisk poruszałem już w Nr. 12/32 r. „Łowca Polskiego", w artykule p. t.: „Jak podnieść racjonalnie stan zajęcy i bażantów w łowisku", zalecając utworzenie t. zw. okręgów ochronnych (znanych w Niemczech p. n. „Hegeringe") polegających na tem, że dzierżawcy, lub właściciele obwodów łowieckich, bezpośrednio graniczących z sobą, ustalają kolegjalnie wysokość etatu odstrzału i porozumiewają się w sprawie stosowania wszelkich zabiegów hodowlano-ochronnych w swoich łowiskach, (m. in. wyznaczają sobie termin oraz wysokość kompletów zajęczych, mających być wpuszczanemi, wyznaczają sobie termin gremjalnego trucia wron itp.).

Poruszając jeszcze temat podkarmiania oraz odstrzału drapieżników, mogę twierdzić, że sprawy te w praktyce pozostawiają w gruncie rzeczy dużo do życzenia, a to z uwagi na niemożność wykonywania szczególnie przeprowadzenia odstrzału drapieżników.

*) A także miejsce pochodzenia (Przyp. red.).

Mam tu głównie na myśli dzierżawców mniejszych łowisk, którzy mieszkają w mieście oraz tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na utrzymanie strażnika łowieckiego, zajmującego się tępieniem drapieżników.

Inaczej natomiast będzie się przedstawiała kwestja przeprowadzenia samego odstrzału zajęcy. Odstrzał ten wykonać może każdy z myśliwych przy odrobinie woli i znajomości rzeczy. Główną jednak przeszkodą przy przeprowadzeniu racjonalnego odstrzału jest często spotykana pasja (manja) strzelania oraz iluzoryczna wyobraźnia myśliwych co do przesadnej płodności zajęcy. Tę domniemaną płodność zajęcy należy przyjąć, jako średni wymiar, że 1 para zajęcy pomnaża się co roku do ilości 12 sztuk. Teoretyczna płodność zajęcy mogłaby być wprawdzie wyższą, gdyby nie istniało mnóstwo wrogów zajęcy. Do najgroźniejszych wrogów, oprócz drapieżników, należy zaliczyć niepogody, które nieraz niszczą cały pierwszy ląg marcowy. Przy coraz szybciej postępującej modernizacji rolnictwa w całym kraju powstał ponadto nowy wróg dla zająca w postaci żniwiarek i konnych opiełaczy. Szczególnie żniwiarki niszczą bardzo silnie stan zajęcy. Nie można patrzeć z założonemi rękami na to wszystko.

Należy starać się przeciwdziałać temu zniszczeniu. Żniwiarek ani opiełaczy nie można skasować, ale skoro pozostawiłoby się więcej samic do rozmnoży, to w zupełności osiągnie się swój cel.

Już sama myśl o płodności zajęcy (oczywiście nie przesadnej) nasuwać musi pewnik, że ochrona samic winna przynieść dodatnie rezultaty.

Znaczną rolę odgrywają w hodowli zajęcy właściwości terenowe łowiska. Istnieją bowiem takie rewiry, które albo dla ich wysokiego położenia (podgórskie), albo znów dla zimnych i mokrych gleb (nieprzepuszczalne podglebie iłowo-gliniaste) nie są łowiskami, sprzyjającemi rozwojowi stanu zajęcy (typowemi łowiskami zajęczemi). Jednakże i w takich łowiskach można stan zajęcy przy pewnej umiejętnej pielęgnacji doprowadzić do stanu zadowalającego.

Główną dewizą w hodowli zajęcy będzie zawsze: „Pozostawić dostateczną ilość zajęcy do rozpłodu".

Zasadniczym błędem w wyborze systemu opolowania łowiska jest stosowanie polowań na pomyka, czyli na szukanego. Ten sposób polowania niszczy najbardziej stan zajęcy, gdyż przy stosowaniu tego systemu polowania zabija się bardzo wielką ilość samic. Samce bowiem są ruchliwsze od samic, tem samem prędzej się niepokoją i ruszają z kotlin. Samice natomiast siedzą zazwyczaj w kotlinie do ostatniej chwili i z tego względu w większej ilości wypadków padają ofiarą śrutu.

Na temat ubicia większej ilości samic podczas polowania na pomyka szeroko dyskutowano w kołach fachowych. Zdania są bardzo podzielone. Niewyraźnie wypowiadają się w tej materji myśliwi — autorzy tej miary, jak Raesfeld, Nordenflycht, Diezel, oraz Schaeff. Na podstawie przeprowadzonych przezemnie badań na przeszło 100 zającach, ubitych na pomyka w różnych okolicach i w różnych porach roku, mogę twierdzić, że właśnie podczas polowania na szukanego pada bardzo wielki procent samic. Z ilości 105 zbadanych przezemnie zajęcy, ubitych na pomyka — 83 sztuki, czyli przeszło 80 procent, było samicami. Sprzeczne są również zdania innych myśliwych niemieckich co do kwestji, czy zając-gach pomyka wcześniej, niż samica. Wypowiadają się w tej materji obszerniej niejacy: Freder, Anserinus i inni w Nr-ach 39 i 41 czasopisma „Wild u. Hund" z r. 1935.

Ponadto celem przekonania się, czy samice rzeczywiście są ruchliwsze od samic, zbadałem płeć zajęcy, ubitych przed zamknięciem kotła (zejściem się czoła). Wyniki tych badań ilustruje poniższe zestawienie:

Kocioł w polu w dniu 22.XII 1933 r.

I) Ubito 1)♂+ 2)♂+ 3)♂+ 4)♂+ 5)♂+ 6 ♀ 7)♀ 8)♂ 9)♀ 10)♂ 11)♂ 12,♀

II) Ubito 1)♂+ 2)♀+ 3)♂+ 4)♂+ 5 ♂

III) Ubito 1)♂+ 2)♂+ 3)♀+ 4)♂ 5)♀

♂ Samiec

♀ Saamica

Zające ubite przed zamknięciem kotła oznaczone są krzyż (+)

Jak z powyższych zestawień wynika, zające, ubite przed zamknięciem kotła, były w jednym wypadku wszystkie samcami (kocioł I) a w dwóch wypadkach 75 proc. ubitych przed zamknięciem kotła zajęcy było samcami. Stąd jasnem się staje, że samce są bardziej ruchliwe, gdyż bezpośrednio po zachodzeniu naganki ruszają z kotlin. Dalsze doświadczenia przeprowadziłem w lesie, o których jeszcze w trakcie mej pracy wspomnę. Przez powyższe twierdzenia nie chcę wykreślić z praktyki myśliwskiej polowania na pomyka, gdyż słusznie mówi p. K. Komierowski w artykule p. t.: „W obronie kotła" Nr. 1/31: „Polujmy jak kto chce, aby etycznie".



Smordwa na Wołyniu. Z polowania na dziki.
Fo. J. hr. Dunin-Karwicki

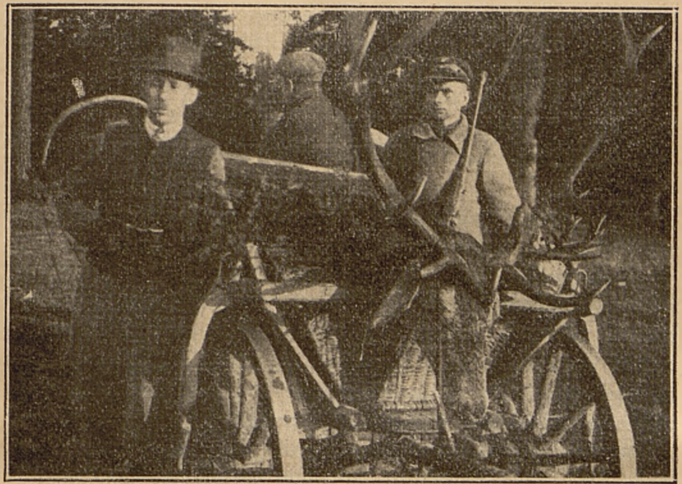
A stosowanie polowań na pomyka jest nawet potrzebne dla ułożenia wyżła użytkowego. Skoro potępiam polowanie na pomyka, to mam tu na myśli tych, którzy niemal dzień w dzień obchodzą cały obwód łowiecki, przewracają niemal każdą skibę zagona w poszukiwaniu za biednym szaraczkiem, a ponadto często jeszcze raz do roku urządzają naganke, bo tradycja tak nakazuje, by raz do roku gościć u siebie sąsiadów na zbiorowem polowaniu. A nawet nie trzeba polować niemal codziennie na szukanego, wystarczy w zupełności polować na pomyka w każdą niedzielę i święto (jak to się zazwyczaj praktykuje, — a niedzieli i świąt podczas sezonu zajęczego jest 15—20), by zdewastować w zupełności stan zajęcy w łowisku.

Zbyt częste polowania na pomyka są jednym z niszczycieli stanu zajęcy, drugim zaś — to nadmiar myśliwych na nagankach. Myśliwi bowiem zazwyczaj są tańsi od naganiaczy, a ponadto w dzisiejszych czasach kryzysu, myśliwy - gospodarz różne ma długi wdzięczności, zmuszające go do zaproszenia na polowanie nadmiernej ilości myśliwych. Zdarza się, że na naganke zjeżdża 20 i więcej strzelb. O ile łowisko jest wielkości ca 500 ha i bywa opolowane w 6 do 8 kotłach, to wielkość jednego kotła wynosi około 70 ha. Skoro w takim kotle będzie 20 i więcej strzelców, to wówczas jest rzeczą wykluczoną, by jakikolwiek zając zdrowo się wymknął, bowiem, gdyby nawet nie padł, to zazwyczaj wzięty w krzyżowy ogień dwóch sąsiadujących z sobą myśliwych, zawsze coś nie coś zostanie draśnięty śrutem.

Im większy będzie kocioł, tem korzystniej dla zwierzyny, zawsze jednak należy postawić pod znakiem zapytania zbyt wielką ilość strzelców, gdyż obwód kotła szybko się zmniejsza.

Tylko ten właściciel łowiska podniesie u siebie zwierzostan, który może opolować swój obwód łowiecki zapomocą nikłej, ale zato wyborowej ilości myśliwych. Wówczas część zajęcy zostanie ubitych, część ujdzie zdrowo z powodu stosunkowo znacznych odstępów pomiędzy myśliwymi. Źli strzelcy są zakałą polowania i łowiska, gdyż przy dzisiejszej technice broni specjalnie w polu ranią wielką ilość zajęcy. Przy szerokim rozrzucie strzału śrutowego, na zazwyczaj dalekich na polach odległościach, trafi, niestety, jedno czy drugie ziarno, którego skutki objawiają się dopiero po paru dniach (pod postacią padliny zajęczej).

Kwestja ilości oraz jakości myśliwych jest bezwzględnie miarodajną dla pielęgnacji łowisk; bez większego natomiast znaczenia może być sposób opolowania terenu, obojętne czy poluje się w kotły, czy ze stanowiska, a nawet ławą czeską, która uchodzi w swych skutkach za najgroźniejszą dla zajęcy. Przy stosowaniu polowania ławą skrzydeł nie należy obsadzać, a w czasie zupełnie kiepskich lat zajęczych należy myśliwym zakazać strzałów za siebie.



Dyr. Adam Piasecki z ubitym dwudziestakiem na rykowisku 1935 r. w Białowieży.

Zawsze lepiej jest mieć na polowaniu mniej strzelb, niż za wiele. A skoro mimo wszystko nie może właściciel łowiska ograniczyć ilości myśliwych, to wówczas koniecznem okaże się podzielić łowisko na 3 części, z których co roku jedną część należy pozostawiać, jako krótkotrwały matecznik. Tego rodzaju praktyka jest znacznie lepszą od często stosowanego systemu wpuszczania zajęcy do tych łowisk, w których poprzednio wszystkie wystrzelano.

Zając sprowadzony bowiem, musi się najprzód zasymilować z otoczeniem i nie będzie nigdy w pierwszym roku tak płodny, jak te zające, które wyrosły na danej glebie.

Z uwagi na to, że w praktyce kwestja pozostawiania mateczników będzie często niemożliwą z powodu niewielkiego obszaru niektórych łowisk, pozostaje dla gospodarza z konieczności system stosowania doboru myśliwych.

Jaki winien być liczbowy stosunek myśliwych do powierzchni łowiska i do naganiaczy? Powyższe trudno podać w ramach suchej formułki. Niechętnie podaję tu cyfry, gdyż właściwości terenowe, jakość strzelców, stan zajęcy i t. p. czynniki wymagają zawsze pewnych zmian, które mogą być dość znaczne.

Cyfry są jednakże dla większej ilości myśliwych podstawą kalkulacji, postaram się zatem podać średnie dane, które każdy z myśliwych (po indywidualnej modyfikacji) może zastosować do swego terenu.

W łowisku np. o terenie równym, względnie lekko falistym, o średnim stanie zajęcy (rozkład: 1 zając na 4 ha), winna odległość myśliwych od siebie (przy zachodzeniu) wynosić ok. 350 m. Pomiędzy każdego z myśliwych puszcza się 5—7 naganiaczy w odstępach po około 50 m. Przy stosowaniu ławy czeskiej można myśliwych stawiać gęściej, w odstępach około 150 m. od siebie. Również i naganiaczy stawia się gęściej, natomiast skrzydła winny pozostać nieobsadzone.

Tyle co do polowań na zające w polu, a jak wyglądać winna organizacja polowania w lesie?

Pominę zupełnie często urządzane polowanie w kotły na większych uprawach leśnych, jako nienadające się dla lasu, oraz polowanie na szukanego w lesie, jako niegodne myśliwego, wspomnę tylko o polowaniu w lesie na stanowiskach.

Umiejętnie urządzone polowanie na stanowisku będzie gwarancją i rękojmią pomyślnego rozwoju zwierzostanu zajęczego w łowisku.

Również i w lesie należy dbać o dobór myśliwych, oraz o to, by pozostawić dostateczną ilość samic do rozpłodu. O ostatnie względnie łatwo, gdyż, jak już wyżej wspomniałem, samice są mniej ruchliwe i tem samem trudniej dadzą się pędzić. Zaraz po ruszeniu naganki ruszają samce, samice natomiast twardo dosiadują i często podnoszą się dopiero za naganiaczami. By przekonać się o prawdziwości tych twierdzeń, robiłem następujące próby:

Zbadałem płeć wszystkich zajęcy, które padły podczas jednego miotu leśnego, kolejno według czasu ubicia.

Z ilości 10 ubitych zajęcy pierwszych 5 było samcami.

Pędzenie w lesie w dniu 14/XII 1932 r. Na ca 150 m. przed myśliwymi odtrąbiono naganke. Ubito po 9 i 6 zajęcy, z których było po 7 i 4 samce. W następnem pędzeniu doświadczalnem w dniu 14/I 1933 r. przerwano pędzenie w połowie oddziału tak, że tylko przepędzono jedną połowę danego oddziału. Z ilości 9 ubitych zajęcy 7 sztuk było samcami.

Zatem twierdzenie Eloessner'a, wyłuszczone w „Wild u. Hund", że w październiku zajęczyce, zmordowane wychowem młodych, są powolniejsze w ruchach i dlatego wytrzymują dłużej, w styczniu znowu zające — gachy, wyczerpane parkotami, są mniej ruchliwe i podnoszą się później, niż samice, nie jest zgodne z próbami, przeprowadzonemi przezemnie w dniu 14 stycznia (p. wyżej), kiedy parkoty się już zaczęły, a mimo wszystko z ilości 9 ubitych zajęcy — 7 sztuk było samcami (w połowie miotu naganke odtrąbiono).

W lesie należy zatem dla ochrony samic przerywać polowania przed linją myśliwych w odległości od 100 do 250 m. w zależności od pogody. Im powietrze mroźniejsze, tem wcześniej należy przerwać naganke, gdyż warunki atmosferyczne mają decydujący wpływ na zachowanie się zajęcy. Na skrzypiącym śniegu zając zdaleka słyszy zbliżającą się naganke i prędzej zrywa się z kotliny. Podczas odwilży natomiast twardo dosiaduje. Celem przekonania się o prawdziwości powyższego, ustawiłem podczas pędzenia w wiklinie przy temperaturze + 4° C część myśliwych przed naganką, część za naganką. Z ilości 6 ubitych zajęcy myśliwi, ustawieni za naganką, ubili 4 samice, myśliwi natomiast przed naganką 2 samce. W drugiem pędzeniu myśliwi stali tylko przed naganką. Ubito 4 zające, z czego 3 samce. W pędzeniu trzeciem myśliwi również stali po części przed, po części za naganką. Z ilości 8 ubitych zajęcy, myśliwi, którzy stali za naganką ubili 4 zające, z czego 3 samice, myśliwi przed naganką również 4 zające, z czego 3 samce. We wszystkich wypadkach zając, który w dniu tym bardzo twardo dosiadywał, późno się zrywał, a samice dopiero za naganką, starając się przez nią przerwać.

Nie należy również zapominać o matecznikach zajęczych w łowisku. Często zaleca się stosowanie t. zw. szachownic, jako jednorazowych mateczników. Teoretycznie biorąc, szachownice takie byłyby idealne, gdyby nie trudności zastosowania ich na terenie.

Prowadzenie naganki przy stosowaniu systemu t.

zw. szachownicy jest nader utrudnione i wymaga znacznej sprawności personelu. Ponadto przez przerzucanie naganki z jednego pola poprzez drugie na trzecie traci się ogromnie dużo czasu, co uniemożliwia należyte wykorzystanie krótkiego dnia zimowego i pozwala na opolowanie tylko pewnej mniejszej ilości miotów, co w dalszej konsekwencji podraża polowanie. O ile chodzi o wykorzystanie krótkiego dnia, to można wprawdzie nagankę ustawiać w dwóch partjach, trzeba jednak do tego więcej ludzi, a tem samem urządzanie polowań jest znacznie droższe. Starczy najzupełniej nieopolować co roku 1/3 części łowiska według stałego systemu zmiany. Technicznie łatwiej to przeprowadzić tak co do wyboru miejsca, jak również co do urządzania polowania.

Jednym z dalszych mankamentów dla naszych łowisk, nietylko w odniesieniu do zajęcy, ale do całego zwierzostanu, jest przewidziany w § 18 ustawy łowieckiej 6-cio letni okres ważności kontraktu dzierżawnego. Okres ten jest stanowczo za krótki.

Pełne owoce swej działalności dzierżawca zaczyna zbierać dopiero od 4-go roku dzierżawnego począwszy. Zostają mu więc tylko dwa lata zbioru pełnego zasłużonego plonu, gdyż kontrakty dzierżawne zasadniczo przewidują znaczne ograniczenia odstrzału w ostatnim roku dzierżawnym. Wskazanem zatem byłoby uwzględnić powyższe w noweli do ustawy łowieckiej, wprowadzając conajmniej 9-cio letni okres dzierżawny polowań. Sąsiedzi nasi przewidzieli powyższe i nowa ustawa łowiecka w Niemczech przewiduje 9-cio letni okres trwania dzierżawy przy zwierzynie drobnej (Niederjagd), a 12-to letni przy jeleniach i danielach (Hochjagd). Im dłuższa będzie dzierżawa, tem lepsze będą owoce hodowlane dzierżawców i tem rzadziej będą dzierżawić rewiry tacy myśliwi, którzy polują i dzierżawią łowiska li tylko dla zysku i efektu pieniężnego.

Powyższemi uwagami nie wyczerpałem w zupełności materjału, dotyczącego hodowli zajęcy. Pragnąłem jedynie w głównych zarysach podać czytelnikom „Łowca Polskiego" część wyników prób i doświadczeń, przeprowadzanych w ciągu około 12 lat, jako przyczynek do kwestji racjonalnej hodowli zajęcy w otwartych łowiskach.

Dr. inż. LEON OSSOWSKI.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU KIELCE

Nawiązując do sprawozdania za rok 1933/34, umieszczonego w „Łowcu Polskim" Nr. 20 z dnia 10 lipca 1935 r., w którem podane są całkowite statystyczne dane, dotyczące powiatu kieleckiego, mogące interesować myśliwych, przedkładamy sprawozdanie za rok 1934/35.

Na terenie powiatu Kielce, działają 3 stowarzyszenia, a mianowicie:

1) Koło Łowieckie Św. Huberta w Kielcach, które należy do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie,

2) Kieleckie Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa w Kielcach, które również należy do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, i

3) Kółko Łowieckie w Psarach, gminy Bodzentyn.

Dwa pierwsze powyżej wymienione Towarzystwa prowadzą w całem tego słowa znaczeniu racjonalną gospodarkę łowiecką.

Niepowetowaną szkodę poniosło Koło Łowieckie św. Huberta w Kielcach przez śmierć prezesa Koła, ś. p. mec. Włodzimierza Kubeckiego.

Kart łowieckich w okresie sprawozdawczym starostwo powiatowe wydało 137, z tego funkcjonarjuszom lasów państwowych 28. Stosunkowo mało wydanych w roku sprawozdawczym kart łowieckich tłomaczy się tą okolicznością, iż w poprzednim roku sporo wydano kart łowieckich na okres trzechletni.

Spraw o kłusownictwo wytoczono: za wnyki i sidła — 448, oraz o nieprawne posiadanie broni myśliwskiej — 74. Wymiar kar za wykroczenia wyznaczono od tygodnia do jednego miesiąca, rozpiętość grzywn od 10 do 100 złotych, konfiskatę broni i zwrot kosztów postępowania. Starostwo zarejestrowało obwodów własnych — 17, wspólnych — 41 (w roku sprawozdawczym zarej. 4).

Akcja tworzenia obwodów łowieckich w dalszym ciągu przedstawia się ujemnie, włościanie w rzadkich wypadkach zgadzają się na załatwienie formalności, związanych z założeniem spółki łowieckiej; jest to wielką szkodą dla gospodarki łowieckiej, gdyż tereny bezpańskie są nawiedzane przez różnego rodzaju indywidua kłusownicze. Jako ilustrację tego stanu rzeczy, możemy przytoczyć, iż powiat kielecki na 39,109 ha. obszaru, stanowiącego obwody łowieckie, posiada 73.426 ha. powierzchni niezarejestrowanej. W ostatnich czasach daje się zauważyć, niestety, taki objaw: właściciele gruntów wstrzymują się od rejestracji obwodów i ich wydzierżawiania na okres ustawowy, natomiast wydzierżawiają swe tereny na jednorazowe polowania grupom pseudo - myśliwych za jednorazową opłatą od 50 do 100 zł., przyczem proceder taki uprawia się kilkakrotnie w ciągu sezonu na tym samym terenie. Oczywiście włościanie w ten sposób, niezgodny z ustawą, uzyskują kwoty, znacznie wyższe od płaconych za tereny zarejestrowane. Natomiast można sobie wyobrazić, jaką szkodę takie kilkakrotne polowania wyrządzają w zwierzostanie, w szczególności, jeśli się zważy, że taki dzierżawca jednorazowego polowania nie czuje się zainteresowanym w podniesieniu stanu zwierzyny. Otóż czynimy wszelkie starania celem ukrócenia podobnych nadużyć.

Zmorą, w najwyższym stopniu utrudniającą kwestję gospodarki łowieckiej, są szalenie wysokie podatki komunalne, które przewyższają niejednokrotnie tenutę dzierżawną, a przez to utrudniają dzierżawę terenów, wzamian nie przyczyniając się do poprawy stosunków łowieckich, a przeciwnie szkodzą prawidłowej gospodarce dzierżawców, stanowiąc największe obciążenie budżetu kółek myśliwskich i poszczególnych dzierżawców, co ostatecznie nie pozwala na wydawanie potrzebnych kwot celem podniesienia zwierzostanu.

Stan zwierzyny w powiecie kieleckim jest naogół słaby; powodem tego były ulewne deszcze i grady w czasie lęgów kuropatw i zajęcy. W całem tego sssłowa znaczeniu racjonalną gospodarkę łowiecką z wielką znajomością rzeczy i nakładem prowadzi właściciel majątku Szczecno, p. Mauwe. Powyższej gospodarce p. Mauwego poświęcimy w niedługim czasie specjalny artykuł. Zwierzyny w lasach państwowych jest bardzo mało.

Funkcjonarjusze nadleśnictw prowadzą energiczną walkę z bandami złodziejów kłusowników, którzy niszczą zwierzynę w zastraszający sposób. Ogólnie biorąc, kłusownictwo rozwielmożniło się bardzo, czego powodem jest panujący kryzys i druga plaga — paserzy żydzi, którzy skupują zwierzynę od kłusowników, roznosząc po domach i sprzedając. Wszystko to dzieje się, mimo prowadzonej przez miejscowego starostę, przy pomocy wicestarosty p. J. Sznajdera, energicznej akcji w kierunku tępienia kłusownictwa wszelkiego rodzaju.

Policja państwowa, aczkolwiek przeciążona pracą, nigdy nie odmawia współdziałania i pomocy w walce z plagą kłusownictwa i paserstwa. W kilku wypadkach, przy pomocy policji zatrzymano paserów ze zwierzyną; jak się okazało, wszystkie kuropatwy, kwiczoły i zające były łowione na sidła i wnyki; zwierzynę skonfiskowano i sprawy skierowano na drogę właściwą.

W dzisiejszych warunkach zmniejszenia poborów ludziom pracy i bezprzykładnego kryzysu, gospodarka łowiecka w praktyce jest bardzo trudna i w bardzo wielu wypadkach utyka, spotykając się z licznemi przeszkodami.

WALERJAN KARNAUCHOW,
TADEUSZ BODAKIEWICZ,
Delegaci P. Z. S. Ł. na powiat i miasto Kielce

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Minęło kilka miesięcy od ukazania się książki, o której nie pisano w „Łowcu Polskim", na którą nie zwrócono uwagi z punktu widzenia myśliwskiego. Tą książką jest praca Zofji Nałkowskiej p. t. *„Między zwierzętami"*.

Jakiś dziwny urok mają wszystkie zwierzęta, opisywane przez świetną autorkę. Jej zrozumienie zwierzęcia ma podkład doświadczenia, to nie są zdania człowieka, który twierdzi, że zwierzę ma rozum, a nie zna sam dobrze zwierząt. Autorka zna je, kocha i rozumie, rozumie każdy odruch stworzenia, nie dziwi się im, a zato często sobie, że potrafiła tak przywiązać się do zwierzęcia, lub że mogła zapomnieć o jednym psie dla drugiego — nowszego.

Pierwsze kilka rozdziałów to przeważnie opisy różnych psich figlów, dopiero w następnych jest mowa o zwierzynie dzikiej, która przypadkiem została złowiona żywcem i którą autorka chowa. Jest tam mowa o zającu. Oswojony królik, łakomy i miły nie doznaje takiej miłości ze strony swej pani, co właśnie dziki, płochliwy zając. I sama autorka pisze, że właśnie dlatego go tak lubi, że jest taki dziki. Chciała za wszelką cenę oswoić go i dopięła swego — zaczął wreszcie jeść z ręki. A potem następuje opowieść o sarnie — Basi.

Pisze o niej tak: „Biorę twój pyszczek w obie dłonie i pozwalasz się głaskać symetrycznie po policzkach, po obu stronach długiej, wygiętej szyi, tak łaskawie przymrużasz ogromne oczy czarne — oczy, przy których wszystko jest brzydkie: i oczy Djany i Jokea (psy) i wszystkich ludzi".

To jedno zdanie mówi o całej książce, wykazuje w niem autorka wprost bezmiar miłości do zwierzącia i jest dobrze, bardzo dobrze, gdy czytelnik słyszy te słowa, gdy czytelnik zrozumie, że kochać zwierzęta, cieszyć się ich zaufaniem, to wielkie szczęście.

Przypomina mi się zdanie jednego z wielkich myśliwych niemieckich, kóry powiedział, że miłości psa nic mu nie zastąpi: ani kochanka, ani żona, ani nawet córka — bo jedna ucieknie z innym, — żona prędzej czy później zdradzi, a córka wyjdzie zamąż i zapomni o ojcu, lecz pies nigdy nie zawiedzie, na nim można zawsze polegać, jego wierności ufać.

Nałkowska w książce swej pisze, że nie może nigdy odmówić prośbie oczu zwierzęcia. Te oczy dla niej wyrażają tyle rzeczy, są tak wielką tajemnicą, ale stara się ją odgadnąć i niekiedy to jej się udaje.

„Między zwierzętami" to dobra książka, która powinna zainteresować nas myśliwych nie dlatego, że w niej są opisy życia zwierząt, ale dlatego, że, jak mało książek, potrafi ona rozmiłować w przyrodzie młodzież. Na te właśnie książki dla młodzieży musimy zwrócić naszą uwagę, zwłaszcza teraz, gdyśmy zaczęli zastanawiać się nad młodszem pokoleniem myśliwych. Od ojca, starszego brata zależy przyszłość polskiego łowiectwa i dlatego raz jeszcze podkreślam: trzeba zwrócić uwagę na książki, które dajemy młodzieży i dzieciom do czytania.

Książka Nałkowskiej — to książka, która powinna być prezentem dla młodszych dzieci każdego myśliwego, któremu dobro myślistwa nie jest obojętne.

„Między zwierzętami" ukazało się nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych. Stronic 121. Książkę ilustrował Mausiak.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

WIADOMOŚCI HODOWLANE

Dnia 16 stycznia b. r. suka „Ada", własność p. M. Klejchamera z Kalisza została pokryta „Splendor - Erosem" wł. p. A. Brudnickiego.

24 stycznia b. r. „Splendor - Arja" własność p. A. Brudnickiego z Warszawy została pokryta „Bey'em" wł. p. W. Wattsona.

Dnia 28 stycznia b. r. „Bolmil - Prima" własność p. A. Brudnickiego została pokryta „Marbiel - Ingiem" wł. p. B. Gędziorowskiego.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„LE SAINT HUBERT"

Nr. 12/1935, str. 344. J. Lurkin *„Królewski rekord myśliwski w Hiszpanji"*. — Król Alfons XIII należy do najlepszych strzelb Europy zwłaszcza w strzałach do gołębi i pędzonych kuropatw. O wynikach jednego z polowań na kury, które się odbyło w ostatnich dniach listopada 1928 r. w Mudela pod Toledo, podaje szczegóły hr. Alvarode Torrubia, stały towarzysz łowów króla Alfonsa. W ciągu trzech dni i w trzech pędzeniach dziennie 7 myśliwych osiągnęło kolosalną liczbę 6.000 kur podjętych. W pierwszym dniu polowania, dn. 28 listopada, i w pierwszem pędzeniu, trwającem półtorej godziny, podniesiono ogółem 703 kury, z czego król Alfons, obsługiwany przez dwóch strzelców i 4 strzelby, ubił 156 sztuk, co czyni ponad $1^1/_2$ szt. na minutę.

Nr. 12/1935, str. 347. A. de Reffye *„Wielkie łowy w Etjopji"*. Zwierzynę abisyńską dzieli autor na dwie odrębne kategorje: zwierzynę tropikalną i zwierzynę górską. Pierwsza kategorja zamieszkuje pustynne płaszczyzny Danakil i Somali, niziny południowego wschodu koło jezior Margerity i Rudolfa oraz brzegi Nilu. Tu lwy, nosorożce, czarne pantery, słonie, bawoły, leopardy i pytony sąsiadują z wielkiemi antylopami, jak waterboock'i, oryxy, kudu, gazele wielbłądzie, oraz z żyrafami i zebrami. Najprzeróżniejsze ptactwo i małpy uzupełniają ten zwierzostan podzwrotnikowy. W wyżynach górskich, gdzie temperatura nocy spada nieraz do zera, spotyka się obok najmniejszych gatunków antylop, jak medafiels, doukkoulos, medakonas, sas i dig-dig, także olbrzymie nyale, jelenie, zamieszkujące szczyty do 4.000 m. Wielkie koty, jak leopardy, cerwale i rysie spotyka się już w okolicach Addis Abeby. Zastrzedz jednak należy, że rysie etjopskie mało mają wspólnego z rysiem północnym. Są to raczej dzikie koty, mało większe od kotów domowych. W tych samych okolicach pospolitemi są ichneumony, hyeny i szakale, oraz gepardy, łatwo dające się oswoić. Liczne i wielowodne rzeki Abisynji są zaludnione przez krokodyle, hipopotamy i iguany oraz przez tysiączne rzesze ptactwa wodnego. Dla wykonywania polowania w Abisynji koniecznem jest otrzymanie licencji — „ourakat" — zezwalającej na odstrzał 1 lwa, 1 nosorożca, 2 waterboock'ów, 5 kudu i t. d.

„DEUTSCHE JAGD"

Nr. 37/1935, str. 672. F. Benzler. *„W jaki sposób może nauczyciel ludowy wychowywać pod względem łowieckim swoich uczniów?"* — Autor, będący nauczycielem ludowym, uzyskał od sąsiedniego ziemianina prawo polowania. Już przy pierwszej wyprawie do lasu natknął się on na sidła, ustawione na króliki. Podejrzewając udział w tem swoich uczniów, wykorzystał autor pewną lekcję przyrody, aby opisać szkodliwą dla zwierząt leśnych działalność kłusowników i mękę, jaką powoduje dla zwierzyny łapanie jej w sidła. Okazanie znalezionego wnyka spowodowało przyznanie się paru chłopców do ich ustawienia, zaś następna wyprawa ze szkołą w las doprowadziła do zebrania przy pomocy uczniów kilkunastu wnyków. Idąc dalej tą samą drogą postępowania, autor osiągnął zaprzestanie wyławiania w siatki młodych zajączków. W miarę wtajemniczania uczniaków w życie zwierzyny i stopniowego przekształcenia ich z wrogów w przyjaciół zwierząt, autor zaczął wykorzystywać ich pomoc w tropieniu kłusowników i w ich rozpoznawaniu, co ułatwiała dzieciarni dokładna znajomość wszystkich okolicznych mieszkańców. Pozatem ustalenie poważnego stosunku do lasu, kryjącego tyle ciekawych tajemnic, pozwoliło na zaniechanie bezmyślnej bieganiny i krzyków podczas wycieczek — tak płoszących zwierzynę — w myśl zasady, że las ma swoją mowę, której należy słuchać uważniej, niż własnych okrzyków. Jako nagrodę za przykładne zachowanie się autor brał z sobą starszych chłopaków na zasiadki i ambony leśne, celem przyjrzenia się własnemi oczami zachowaniu się zwierzyny na swobodzie. Dużą pomocą w tem łowieckiem urabianiu młodzieży wiejskiej było wykorzystywanie na lekcjach oraz podczas feryj starych roczników pism myśliwskich.

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

WYJĄTKOWA BEZCZELNOŚĆ KŁUSOWNIKÓW.

(—zet.—) Pan Karol Steihagen, właściciel Złotolasu w pow. częstochowskim, łowiska posiadającego stałą ostoję jeleni, celem regeneracji poroża u siebie i w całej okolicy nabył dwa byki, które narazie przechowywał w ogrodzeniu, mając zamiar wypuścić je na rykowisko w 1936 roku. Byki te pochodziły: jeden z Karpat, drugi z hodowli hr. Hochberga.

20 listopada ub. r. w nocy rocznego karpackiego jelenia zabili nieznani amatorzy mięsa jeleniego. Trzeba dodać, że ogrodzona przestrzeń wynosi 6 ha, a samo ogrodzenie ma 3 metry wysokości.

Po usilnych i bardzo uciążliwych staraniach udało się wreszcie wykryć sprawców tego łajdactwa, a okazali się nimi Stefan Szczepanek i jego syn Józef, mieszkańcy wsi Kopanicy pow. częstochowskiego. Wykrycie kłusowników zawdzięczać należy niejakiemu Janowi Wojtasze, który był naocznym świadkiem ich czynu i zdecydował się ich wydać.

W dniu 11 b. m. odbędzie się przeciwko Szczepankom sprawa w sądzie grodzkim w Częstochowie. Należy mieć nadzieję, że kłusownicy zostaną ukarani z całą surowością na mocy art. 76 i 77 prawa łowieckiego. Zgodnie z treścią tych artykułów w danym wypadku popełniono trzy albo też cztery różne przestępstwa: polowanie bez karty łowieckiej, o ile jej Szczepankowie nie posiadali, polowanie na cudzym terenie, polowanie po zachodzie słońca i wreszcie polowanie w czasie ochronnym.

Artykuły te przewidują: pierwszy — grzywnę do dwustu złotych, lub areszt do 4 tygodni, albo obie kary łącznie, drugi — grzywnę do pięciuset złotych oraz areszt do sześciu tygodni.

Niezależnie od powyższego właścicielowi ubitej bezprawnie zwierzyny przysługuje prawo odszkodowania, stanowiące trzykrotną wartość zabitego zwierzęcia. W danym przeto wypadku byłoby to zapewne odszkodowanie bardzo wysokie, niewątpliwie bowiem koszt byka karpackiego wyniósł wysoką sumę.

Sprawiedliwego wyroku oczekiwać będą wszyscy myśliwi, interesujący się hodowlą zwierzyny łownej, zwłaszcza zaś najbliżej zainteresowani właściciele łowisk z ostojami jeleni w powiatach: częstochowskim, zawierciańskim, włoszczowskim i radomskowskim.

*

(—zet—) Gajowi dóbr Międzyrzec podlaski, Konewski i Szczerba natknęli się na polach, należących do wsi Krzewica, na mieszkańca tejże, Józefa Wiśniewskiego, który szedł z bronią.

Kłusownik na widok gajowych rzucił się do ucieczki. W czasie pościgu gajowi lekko postrzelili Wiśniewskiego i odebrali mu strzelbę.

*

Dwaj kłusownicy rodem z Wysokiej koło Głogowa pow. Rzeszów, niejacy: Łyczko i Późniak, skazani pierwszy na 14 miesięcy więzienia, drugi na 7, ciągle apelują i chodzą na wolności.

Inny kłusownik, Kamiński, pochodzący także z Wysokiej, obarczony czternastu wyrokami sądowemi chodzi po świecie i ująć się nie da.

Dnia 12 kwietnia 1935 napadli w nocy nieznani kłusownicy na mieszkanie strażnika w lesie, w Zaczerniu. Uśmierciwszy wprzód psy podwórzowe, dali następnie trzy strzały kulowe przez okno do środka izby. Kule utkwiły w ścianach, nie wyrządzając na szczęście nikomu z mieszkańców żadnej krzywdy. Do dzisiaj sprawców nie wykryto.

Te kilka przykładów dostatecznie ilustruje sytuację. Nie trzeba się łudzić, aby nawet wysoki wymiar sprawiedliwości mógł w tych warunkach przekreślić pozory bezkarności.

*

(—zet—) W dniu 10 stycznia b. r. w maj. Wlewsk na Pomorzu do powracającego do domu leśniczego p. Jana Konicza dano strzał z dubeltówki z ukrycia w gęstwinie, z odległości 20 metrów.

Leśniczy został trafiony ładunkiem śrutowym w nogi, poniżej kolan, wobec czego z wielkim trudem zaledwie dowlókł się do domu, skąd zawiadomił o napaści właściciela majątku.

Zawezwany z Lidzbarka lekarz po nałożeniu prowizorycznego opatrunku polecił przewieźć p. Konicza do szpitala w Brodnicy na kurację. Stan rannego nie jest groźny.

Policja aresztowała domniemanego sprawcę postrzelenia, niejakiego Gustawa Spaldinga juniora, którego osadzono w więzieniu do chwili ukończenia śledztwa.

*

(—zet—) Dnia 21 stycznia b. r. na targu Łukiskim w Wilnie policja zatrzymała niejaką Helenę Siatkowską, która przyniosła w koszu 15 sztuk kuropatw, złowionych w sidła.

Starosta grodzki ukarał Siatkowską grzywną w wysokości Zł. 50.— z zamianą na 14 dni aresztu, zarządzając jednocześnie konfiskatę ptactwa na rzecz zakładów dobroczynnych.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Wykaz upolowanej w r. 1935 zwierzyny łownej i drapieżników w maj. Białka, pow. radzymińskiego, wł. p. Bronisławy Doria-Dernałowiczowej.

ZWIERZYNA ŁOWNA:										
Dzików	Rogaczy	Zajęcy	Królików	Bażantów	Cietrzewi	Kuropatw	przepiórek	Słonek	Derkaczy	Razem
3	7	230	34	38	1	223	1	1	1	539
DRAPIEŻNIKI:										
Lisów	Psów	Kotów	róż. Jastrzębi	Gołębiarzy	Sów	Kruków	Wron	Srok	Sójek	Razem
3	42	54	60	3	8	4	144	7	32	357
										Razem sztuk 896
Wnyków zebrano 26, sideł 4										

Z POWODU 70-LECIA ISTNIENIA FIRMY HEYM'A.

(—zet—) Fabryka broni Fr. Wilh. Heym w Suhl (Niemcy) może się powołać na swą 70-letnią działalność. Założyciel tej firmy był wynalazcą i długoletnim właścicielem patentu dryllingów Anson & Deeley, które wśród szerokich kół myśliwych zapisały się jak najkorzystniej swą trwałością.

Firma Heym stale dążyła, aby oferować na rynek solidną, najlepszą broń i kładła specjalny nacisk na precyzję strzałów, toteż wytwarzana przez nią broń zyskała sobie wszędzie duże uznanie.

Warto zaznaczyć, że broń w firmie Heym wyrabianą jest przeważnie ręcznie, co daje możność jak najdalej idącego stosowania się przy jej wykonywaniu do indywidualnych życzeń odbiorców.

W Polsce firma Heym znana jest bardzo szeroko, jako dostawczyni podwójnych sztucerów i podwójnych sztucerów-dryllingów, precyzyjnie wykonywanych na podstawie długoletniego doświadczenia.

TREŚĆ NUMERU:

Numer niniejszy wyszedł z kilkudniowem opóźnieniem z powodu strajku drukarskiego.

Administracja.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15